Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 22 grudnia 1935 r. Nr. 51



WESOŁYCH ŚWIĄT!

W noc wigilijną, białą od śniegu,
srebrną od gwiazd,
W dal niezmierzoną myślą popłynę
od wsi do miast...
Może gdzieś w drodze mojej napotkam
ubogi ką.
I ludzi w nim, to życzyć im będę
Wesołych Świąt.

To się opłatkiem bielutkim złamię,
podzielę wraz,
Że pierzchną żale i lżejszym będzie
trosk ciężkich głaz..
A potem pójdę znów hyżo dalej
wskroś śnieżnych pól
Zajrzeć do okien, gdzie szczęście mieszka,
a rzadko ból.

Tam do tych cichych jasnych domów,
gdzie pachnie las,
Gdzie smukłe drzewka w wielkich salonach
stoją wśród kras,
Gdzie stół prześliczne, jakby aniołki
obsiadły wkrąg —
Szczęśliwe dzieci i życzą sobie
Wesołych Świąt..

MARJA ZEMMLERÓWNA.



POWIEŚĆ 12)

Ani jedno jego spojrzenie nie jest mi obce. Obserwując przez długie godziny tę drogą twarz, dostrzegam w niej zmiany, jakie czas musiał, naturalnie, poczynić. Kilka nowych zmarszczek na czole, sporo siwych włosów na skroniach. A jednak to ten sam człowiek, ten sam. Poznaję każdy jego uśmiech, każde drgnienie ust, każdy błysk oczu. Ze spokojnem szczęściem słucham najprostszych słów i w zakamarkach wspomnień odnajduję zupełnie podobne rozmowy.

Wiele mówimy o przeszłości; naturalnie, raz wraz wypływa na usta słowo: pamiętasz? I potem biegną wspomnienia. Każde drzewo, każdy kamień przy ścieżce związany jest z jakąś historją. Ot, ta wysoka topola przed gankiem: Adaś o mało karku przez nią nie skręcił. Zapowiedział, że wlezie na sam wierzchołek. Usiłowałam go odwieść od szalonego zamiaru, ale chłopak tem bardziej się uparł.

— Może myślisz, że nie potrafię, co? — zapytał tonem buńczucznym i natychmiast wziął się do dzieła. Zrazu szło wszystko doskonale. Chłopak zwinny jak wiewiórka, wdrapał się już na znaczną wysokość, gdy nagle — gałąź trzasnęła złowrogo i nim zdołałam krzyknąć z przerażenia, Adaś już leżał na ziemi i śmiał się w najlepsze.

— No to co, — mruknął, powstając. — To się może każdemu zdarzyć. Ale wlazłem prawie na sam wierzch.

— Mogłeś się zabić na śmierć! — zawołałam żałośnie i na tę myśl łzy trysnęły strumieniem.

— Naturalnie, becz teraz. Z babami to zawsze...

Pani Rymszyna długo nie mogła się uspokoić na samą wieść o wypadku. Tylko ciotka Eufemja wzruszyła ramionami.

— Dajcież mu spokój! Od tego chłopak, żeby łaził po drzewach. Nigdy inaczej nie bywało. A że tam spadnie kiedy, et! Nic mu nie będzie! Zawsze na cztery łapy, jak kot...

Biedny Adaś. Nic mu nigdy nie było, istotnie. Spadał sobie z drzew, potem ze źrebaków, które bez wiedzy Janusza ujeżdżał o świcie na okólniku. Niechorował nigdy. Uczył się średnio, ale jakoś z klasy do klasy przechodził. I dorósł wreszcie po to, aby go na tej wojnie japońskiej zabili...

Pamiętam, byłam właśnie na wakacjach w Klimontowcach. Poprzedniego dnia przyjechał Zbigniew. Nikomu ani przez myśl nie przeszło wtedy, że Adaś może właśnie w tej chwili...

Około południa przyniesiono ów nieszczęsny telegram. Pani Józefa czytała go bardzo powoli, jakby nie mogąc pojąć treści tych kilku lakonicznych słów. Wreszcie rzuciła telegram i wstała, opierając się o stół rękoma. Stała tak długą chwilę pochylona z oczami wbitemi w pomięty skrawek papieru, a potem wyszła z pokoju cicho, jak osoba, która nie zdaje sobie sprawy, co się wokoło niej dzieje.

Teraz dopiero powstało zamieszanie: Co? Jak? Kiedy? Ach, Boże, Boże!... Krzyżowały się zapytania, wykrzykniki, westchnienia. Właściwie wszyscy zrozumieli już, ale Zbigniew wziął do ręki telegram i przeczytał tych kilka słów, zawierającą straszną wiadomość.

— Biedny Adaś! — krzyknęła Emilka i zaniosła się płaczem.

— Biedna mama... — szepnął Zbigniew. Nagle zwrócił się ku nam:

— Moje kochane... nie płaczcie tak głośno... Jeszcze ciocia usłyszy.

Ciotka Eufemja! Wszyscy instynktownie zwrócili głowy w stronę drzwi. Janusz podszedł na palcach i zamknął je. Do obiadu brakowało już tylko pół godziny. Zaczęliśmy się naradzać, co teraz począć. Wprawdzie staruszka oddawna sparaliżowana, zobojętniała na mnóstwo zjawisk życiowych, ale Adaś był zawsze jej ulubieńcem. Wprawdzie na wieść, iż go wzięli do wojska, spytała najspokojniej: „Czyżby. A niech tylko uważa, bo to o wypadek nie trudno." Ale wobec tej śmierci...

— Ona tego nie przeżyje. Pomyślcie, osiemdziesiąt pięć lat. Ona to życiem przypłaci... — szeptała teraz Emilka, wycierając chusteczką zapłakane oczy.

— Może... może nie mówić babuni? — poddała Ela, ale ją ofuknięto:

— Dowie się zboku. Ktokolwiek wypaple i będzie i będzie jeszcze gorzej.

Po długich naradach postanowiliśmy jak najoględniej przygotować staruszkę. Właśnie dzwonek w podwórzu oznajmił porę obiadową. Wszyscy, prócz pani Rymszyny, zgromadzili się w jadalni. Balbina przywiozła swą panią na wózku i zatoczywszy go na zwykłe miejsce, siadła przy końcu stołu. Stara dama była niezwykle rozmowna i nastrojono łaskawie dla otoczenia:

— Cóż, Zbigniewie — zaczęła głosem cokolwiek podniesionym, właściwym osobie przygłuchej — pogoda zapowiada się ładna?

— Prawdopodobnie... — odparł szybko.

— Hę? — poruszyła się z niezadowoleniem. — Jak powiadasz, bo nie dosłyszałam? Wszyscy lubicie mamrotać pod nosem...

— Ładna pogoda, ciociu! — krzyknęła Emilka, siedząca bliżej. Staruszka skinęła głową. Przez chwilę, mieszając zupę, wodziła wzrokiem po otoczeniu.

— A gdzież to Józia? Józi nie widzę! — spytała nagle, dojrzawszy puste nakrycie.

Zapanowało krótkie, niespokojne milczenie. Emilka schyliła głowę, a Ela,



Na zawodach policji konnej w San Francisco, cudów odważności i zręczności dokazywała jedna z kobiet. Na ilustracji naszej widzimy ją w chwili, kiedy po ukończeniu popisów na rozhukanym rumaku, zabiera ją jeden z policjantów, by wywieźć z areny.

której usta drgały wciąż od powstrzymywanego płaczu, nagle rzuciła serwetę i wybiegła z pokoju.

— A to co znowu za kaprysy? — zmarszczyła brwi staruszka, ale Zbigniew przerwał jej:

— Widzi ciocia... Otrzymaliśmy wiadomość... Mama nie zejdzie na obiad... Otrzymaliśmy bardzo smutną wiadomość. Chciałem właśnie przygotować cioteczkę...

— Tylko bez tych spieszczeń, proszę bardzo. Nie znoszę tego, wiesz dobrze!

— Ciociu! Adaś nie żyje! — wyrzuciła jednym tchem Emilka.

Zaległa cisza Staruszka siedziała wciąż sztywno w swoim fotelu na kółkach, mieszając zupę najspokojniej. Po chwili odłożyła łyżkę i tonem, w którym więcej było zdziwienia, niż żalu, wypowiedziała jedno jedyne słowo:

— Czyżby?

Jedliśmy dalej w milczeniu, z uczuciem ulgi i zgrozy jednocześnie: że przeszło i że przeszło tak łatwo...

Nareszcie sprzątnięto ostatnie talerze. Ciotka Eufemja otarła usta serwetą i skinęła głową na znak, że możemy wstawać od stołu. Balbina przydreptała ku niej i jęła popychać wózek ku drzwiom.

— Zaczekaj... Chciałam się o coś zapytać... Ot, stara głowa! Zupełnie z pamięci wypadło...

Potarła czoło ręką.

— Aha, już wiem. Prawdaż to, coś mówiłaś, Balbisiu, że kury w tym roku wcale nie niosą, a indyczki niczem warjatki?

— Szczęśliwa starość! — szepnął Janusz, podszedłszy do mnie. — Widocznie ciotce zupełnie „z pamięci wypadło", że Adaś...

XXIV.

Wracając z poczty, spotkałam naszego proboszcza. Szedł raźnym krokiem, wymachując rękami jak wiatrak. Ten człowiek zawsze się śpieszy. Jednakże

dostrzegłszy mię przystanął i począł wykrzykiwać na cały rynek:

— Hop hop! Panno Krystyno! Proszę tutaj na chwilkę!

Podeszłam. Przywitaliśmy się serdecznie.

— No no, — rzekł do mnie — nareszcie pannę Krystynę spotykam. A na plebanję ani zajrzy. Gdzie się pani tak chowa?

— Ja, proboszczu? Ot, korzystam z wakacji, z pięknej pogody. Cały dzień jestem poza domem.

— Wiem, wiem. Zachodziłem dwa razy, żeby się przecież upewnić, że pani żyje. Podobno teraz panna Krystyna ciągle w Klimontowcach przesiaduje...

— Istotnie...

— Niechno pani pójdzie ze mną kawałeczek, dobrze? Śpieszę się na plebanję, bo mi dali znać, że rój wyleciał z ula. Z temi pszczołami to tak zawsze. Pilnuj, pilnuj, nie upilnujesz. Wyroiły się, szelmy i u sąsiada komin obsiadły. A złe to, niech Bóg broni... Przedwczoraj, to mię tak bestje skąsały...

Wyciągnął rękę rzeczywiście pokrytą znakami. Szliśmy przez chwilę w milczeniu. Nagle proboszcz zagadnął:

— Pan Rymsza na długo w nasze strony zawitał?

— Nie wiem, proboszczu. Pewnie wkrótce wyjedzie.

— Aha... Bo ludzie mówią... A żona została w mieście, co?

— Tak, jego żona jest w Warszawie. Proboszcz popatrzył na mnie zukosa.

— Niech się pani nie gniewa, panno Krystyno, ale ja chciałem pani coś powiedzieć. Bo to ludzie gadają... Ot, ludzkie plotki... Zwykła rzecz... Podobno pani była kiedyś zaręczona z panem Rymszą. Czy to prawda?

— Prawda, proboszczu. Byłam z nim zaręczona. To dawne czasy.

— Tak? Aha... Naturalnie, tak. Bo to ludzie zaraz... Ot, powiem prosto z mostu: poco pani ciągle w tych Klimontowcach przesiaduje?... Zawsze to złe języki ludzkie...

Stanęliśmy właśnie pozed plebanją. Odparłam, siląc się na spokój:

— Czemu jeżdżę do Klimontowiec? Wychowałam się tam od dziecka. To mój rodzinny dom. Innego nie mam. Czy proboszcz doprawdy uważa, że źle czynię, widując się ze Zbigniewem, który był moim narzeczonym, a teraz jest moim przyjacielem. Jeżeli oczy ludzkie mogą dopatrzeć się złego w tem, że często bywam w Klimontowcach...

— Ale niech Bóg zachowa! — przerwał ksiądz z widocznem zakłopotaniem. — Ja wcale nie chciałem zrobić pani najmniejszej uwagi... Ot, przyszło na myśl zapytać się... Bo to ludzie zaraz, że pan Rymsza żony nie przywiózł... że niby sam w Klimontowcach... Et, powtarzać nie warto... Ja przecież panią znam nie od dziś i szanuję. Pani sobie tutaj zyskała wielkie uznanie i w szkole i poza szkołą. Niedawno jeszcze inspektor mówił mi, że pani jest najlepszą siłą w powiecie... No, przecież się pani nie gniewa, panno Krystyno? Nie obraziłem pani?...



W Wiedniu odbyła się niedawno rewja najlepszych austrjackich łyżwiarzy i łyżwiarek, wśród których jedna z zawodniczek wyróżniła się pięknym tańcem motyla.

— To ja dziękuję proboszczowi za życzliwość. A „złe języki" już wkrótce nie będą miały żeru. Pan Rymsza wyjedzie lada dzień.

Prosił mię jeszcze, abym wstąpiła choć na momencik do jego siostry, ale się wymówiłam pilną robotą w domu. Pożegnaliśmy się serdecznie...

Burmistrz widocznie czekał na mnie, bo w chwilę po moim powrocie zastukał do drzwi.

— Proszę pani, — oznajmił, wsuwając głowę do pokoju. — Był tutaj chłopak z Klimontowiec. Powiedział, że pan Rymsza czeka na panią o piątej.

— Dobrze. Dziękuję.

Stary nie odchodził. Namyślał się nad czemś. Wreszcie zapytał:

— Proszę pani... Bo ja ciągle względem tej łąki... Czy to prawda, co ludzie mówią, że się pan Rymsza rozmyślił i ani kawałka ziemi sprzedać nie zechce?

— Skądże ja mogę wiedzieć, kochany panie...

— Tak? A ja sobie myślałem... Bo mnie bardzo o tę łączkę chodzi. Niedużo tam tego, będzie z półtora morga. Żeby tak pani do pana Rymszy za mną chciała powiedzieć... Niechby mnie tylko sprzedał ten kawałeczek. Jemu tam dużo o tę łąkę...

Ach, więc to tak. Protekcja. I to do mnie, d o m n i e zwraca się burmistrz o protekcję. Odpowiedziałam zmieszana:

— A cóż ja mogę powiedzieć? Burmistrzowi się zdaje, że mnie pan Rymsza zaraz usłucha...

— Kogoż usłucha, jak nie panią? — zdumiał się i to tak szczerze, że już nie miałam wątpliwości. Oni tu w miasteczku są przekonani, że ja ze Zbigniewem „mogę wszystko". Proboszcz miał słuszność, wspominając o plotkach. Tylko — jak daleko sięgają te plotki. Czyżby...

Śmieszne, doprawdy. Podeszłam do lustra i długo, długo badałam własne odbicie. Czy ja doprawdy tak jeszcze wyglądam, że mogłabym się p o d o b a ć? Te smutne oczy, zmęczone ślęczeniem nad książką... Ten lekki, a jednak widoczny zarys zmarszczek około ust.. Tych kilka srebrnych nitek we włosach... „Twoje cudowne oczy" mawiał Zbigniew. To było dwanaście lat temu.

Jesteśmy przyjaciółmi — powiedziałam przed kilku dniami. B ę d z i e m y, poprawił Zbigniew. Nie zwróciłem uwagi na tę drobną zmianę, teraz zaczynam się zastanawiać. Dlaczego czas przyszły? Dlaczego nie dziś, a jutro? Czyżby chciał przez to powiedzieć: gdy już b ę d z i e m y s t a r z y...

Że moja miłość nie umarła, to jeszcze nie dowód, by jego dawne uczucie dla mnie miało z m a r t w y c h w s t a ć. Dziwne to słowo, przyjaźń. Używają go ludzie najczęściej, aby określić jakieś uczucie nieogarnione żadnym na świecie słownikiem. Mówi się: przyjaźń, a myśli się przy tem: sympatja, albo miłość, zależnie od okoliczności.

Przed godziną zaledwie, mówiąc z proboszczem, użyłam zwrotu: Zbigniew jest moim przyjacielem. Czyżbym powiedziała za wiele, albo, co gorzej, za mało? To głupie lustro nie chce mi pomóc. Patrzy z jego ram kobieta, o nieco zgaszonych oczach i bardzo świeżym uśmiechu. Taką kobietę można kochać, trudno się w niej z a k o c h a ć. Między temi słowami jest przepaść, większa od tej, którą stworzyło dwanaście lat rozłąki.

Lekki szmer przy drzwiach wyrwał mię z zamyślenia. Zbigniew stał nieruchomo i patrzył na mnie z uśmiechem.

— Wybacz — zawołał, składając ręce. — Drzwi były uchylone... Zajrzałem, sądząc, żeś wyszła z pokoju. Byłaś tak pogrążona w kontemplacji nad własną urodą... Nie myślę cię oskarżać o próżność. Kobieta powinna wiedzieć o tem, że jest piękna...

— ...i należycie ocenić gładki komplement, prawda? Ale chciałabym wiedzieć, co ty tu robisz o tej porze? Czy znowu pilne sprawy w miasteczku?

— Zgadłaś, choć niezupełnie. Główny cel mego tutaj wtargnięcia, to nowina, która muszę podzielić się z tobą. Dziś w Klimontowcach przygotowałem niespodziankę...

— Nie wiem jeszcze, czy będę mogła przyjechać, Zbigniewie.

— Jakto? Mogłabyś nie przyjechać?.. Co też ty mówisz?

Dobry jego humor zgasł nagle, jak zdmuchnięta świeca. Zamilkł i patrzył na mnie z wyrzutem. Po chwili szepnął, raczej do siebie, niż do mnie:

— Mój Boże, a ja się tak cieszyłem...

— Ja także, Zbigniewie, przed godziną jeszcze sądziłam, że nic mi nie przeszkodzi odwiedzić Klimontowce. Ale zaszła poważna przeszkoda...

— Musi być poważna, jeżeli chcesz mi wyrządzić krzywdę.

— Krzywdę, zaraz takie słowo! — odparłam, siląc się na ton wesoły. — Wogóle, uważam, że nabrałeś skłonności do przesady. Ostatecznie, nic się nie stanie, że jedno popołudnie spędzimy zdala od siebie. Tyle ich było w życiu. A prawda, wspomniałeś o jakiejś niespodziance...

— Teraz to już niewarto mówić. Drobiazg. Kazałem Wątkowej staszczyć z góry ten stary fortepian. Dwa dni czyścili go, pucowali, bo okrutnie był sponiewierany, a dziś rano przyjechał z miasta stroiciel. Majstrował, majstrował — no i ostatecznie jakoś tam poradził, bo klawisze odpowiadają. Myślałem: trzeba coś zagrać Krysi, jak przyjedzie. To cała niespodzianka.

— I byłybś zagrał? Wszystko, co zechcę? Doprawdy?

— Wszystko, co zechcesz.

Wyciągnęłam do niego rękę.

— Przyjadę.

Porwał obie moje ręce i począł je całować, powtarzając wkółko rozradowanym głosem:

— Jaka dobra, jaka dobra, jaka dobra...

Pal licho moje wszystkie „silne postanowienia!" Czy dlatego, że tak się podoba tutejszym mieszczanom, mam krzywdzić Zbigniewa i siebie? Kto mi wróci te krótkie chwile szczęścia, pierwsze po wielu, wielu latach i może już ostatnie? Dlaczego mi nie wolno raz jeszcze, w pogodny wieczór letni, przeżyć najsłodszych marzeń młodości mojej? Tej młodości, która minęła bezpowrotnie...

Powtórzyłam silniejszym głosem.

— Przyjadę.



W sali Filharmonji w Sztokholmie w obecności rodziny królewskiej odbyło się wręczenie nagród Nobla tegorocznym laureatom. W uroczystości tej wzięła udział osobiście rodzina królewska. Siedzą od lewej: książę Wilhelm, następca tronu z żoną, król Gustaw, księżna Sibilla, książę Gustaw Adolf i książę Eugenjusz.

XXX.

Zmierzch zapada bardzo powoli, choć nieustannie. Widzę jeszcze ciągle profil Zbigniewa, taki wyraźny na tle okna, za którem czerwień dnia gasnącego przemienia się stopniowo we fiolet.

Widzę piękną głowę, pochylającą się zlekka w takt uderzanych akordów i zarys pięknych rąk na klawiaturze. Za oknem dźwięczy cisza, w pokoju dźwięczy fortepian. Biedne, chrome klawisze, jakgdyby odzyskały młodość. Zapadają pokornie pod wszechmocnem dotknięciem. Stare, stargane struny jęczą i łkają dziwnie boleśnie. Raz jeszcze zabrzmiały potężne tony Apasionaty, raz jeszcze rozpłynęło się w cichych bezradnych łzach preludjum deszczowe...

Za oknem dźwięczy cisza, w pokoju dźwięczy fortepian. Z kątów, gdzie czai się najgęstszy mrok, wypełzają tłumnie wspomnienia. Senny korowód postaci ożywia się, porusza coraz raźniej. Oto przez pokój przechodzi Balbina, cicho, na palcach, aby nie płoszyć nastroju. Mocno ściska w dłoni pęk kluczy i śpieszy, śpieszy drobnemi kroczkami. Dokąd? Zapewne do śpiżarni. Bo muzyka muzyką, a wieczerzę trzeba mieć w pogotowiu. Niech tylko zmilkną ostatnie dźwięki, toż buchnie gwar zmieszanych głosów! Starych i młodych. Bardzo starych i prawie jeszcze dziecięcych. Podbiegnie „ciocia Józia" i pocznie ściskać syna, całować go po głowie, po oczach... „A mój ty kochanieńki, tak pięknie graszl... A powiedzcież, jaki artysta z niego się zrobił! Ot, Femcia, serce moje, żeby tak mogła usłyszeć!..."

A potem podchodzi Emilka. Ma jeszcze oczy pełne łez, tych, których nie zdążyła wypłakać nad mogiłkami Hani i Zdzisia. Podchodzi prosto ku mnie, opiera głowę na mem ramieniu i już nie płacze, a szlocha. Biednym, starganym od łkania głosem powtarza moje imię, jakby na świecie nie było innego słowa, którem można wyrazić tyle cierpienia:

— Krysiu... Krysiu... Krysiu...

Otaczam ją ramieniem, gładzę jej włosy, tak wcześnie pośrebrzone, utulam jej troskę pieszczotą, w której jest obietnica. Już dobrze, już będzie dobrze. Zobaczysz, będzie dobrze. Emilka podnosi głowę, ociera łzy i oczy nasze jednocześnie szukają Eli. Siedzi tam, w kątku, nieruchoma, drobna, skulona tak, że prawie ginie w wielkim fotelu. Wąska twarzyczka bieleje na tle ciemnego obicia i tylko jarzą się oczy. Wielkie, nadmiernie rozszerzone źrenice, wpatrzone uporczywie w Zbigniewa. Jest w tem spojrzeniu i prośba i bunt — cała gorzka tragedja zapoznanej miłości.

Już dobrze, już będzie dobrze, Emilko. Już wiem, rozumiem...

Jednem, krótkiem westchnieniem przekreślam całą przyszłość. Zawczasu przeżywam chwilę, w której mu powiem: tak trzeba. Zawczasu gotuję się na walkę, w której powinnam zwyciężyć. Pośpiesznie czynię przegląd tych kruchych argumentów, gotowych stopnieć, jak śnieg od wiosennego słońca. Co ja mu powiem! Jak ja mu powiem?

W tej chwili Zbigniew zbliża się ku mnie. Czuję, jak słabnie cała moja odwaga. Nie, nie, to niemożliwe. Czyż mogłabym go utracić? Te słowa, te kochane słowa:

— Dziś grałem tylko dla ciebie. Czułaś to?

— Tak, tak...

Oglądam się z rozpaczą. Emilka wyszła z pokoju. Ela, nieporuszona, siedzi na dawnem miejscu i patrzy na nas.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

MARJA REUTT

1)

Zemsta Cyganki

POWIEŚĆ

ROZDZIAŁ I.

Marzenia przebiegły w przeszłość

Na polanie wśród lasu karpackiego w okolicach Worochty rozłożył się obóz cygański. Na skraju lasu stoją wozy wędrowne, w których mieszkają cyganie. Na środku polanki rozpalono ognisko. Stara cyganka, Kira, gotuje obiad. Pomaga jej Mira, młoda dziewczyna o czarnych, błyszczących oczach. Z pod czerwonej chustki wybiegają na jej ciemną, o ostrych rysach twarz kosmyki kruczych włosów. Rozpięta koszula ukazuje jej jędrne, bronzowe piersi.

Obok kilku starszych cyganek bawią się nagie cyganiątka. W cieniu drzew pracują mężczyźni. Lutują kotły, kują konie, naprawiają wozy. Twarze mają spalone od wichru i słońca, oczy ruchliwe, przebiegle przenikliwe.

W obozie wre praca. Wszyscy są czemś zajęci, jeden tylko człowiek spoczywa na murawie bezczynnie. To król cyganów całego świata. Majestat bije z jego twarzy rasowej, na której liczne wędrówki wyryły swe piętno. Dąży teraz ze swoją świtą na Krym. Król ubrany jest w kamizelkę jaskrawą, którą zdobią srebrne szamerunki. W uszach ma złote obręcze, na rękach pierścienie. Za pasem trzos skórzany, rewolwer i nóż. Patrzy w dal, nogi podwinął pod siebie, pali fajeczkę.

W głębi lasu siedzi na pniu powalonego drzewa królewska córka. Ubrana w wyszywany, krótki gorsecik i jedwabną spódniczkę. Sznury korali zwieszają się z jej szyi, perły wplecione w krucze warkocze, brylanty skrzą się w kolczykach.

Małe, drobne ręce przyciskają gitarę. Usta koralowe zacięła białemi zębami. Sobolowe brwi zmarszczyła.

Myśl poszybowała w przeszłość.

Widzi się 12-letnią dziewczynkę w długiej sukience, w bucikach, które są dla niej za duże, gdy idzie z ojcem ulicami Lwowa. Trzyma się kurczowo ręki ojca, gdyż przeraża ją wszystko. Zgiełk i hałas ulicy, tłum nieznanych ludzi, wszystko to budzi w niej trwogę. Zbiera się jej na płacz. Zmęczona daleką drogą, ledwie idzie.

Stanęli u drzwi klasztoru. Ojciec zadzwonił i po chwili otworzono im furtkę. Na progu ukazała się odźwierna. Na widok cyganów robi zdziwioną minę i nie chce ich wpuścić do środka. Ojciec odpycha odźwierną i wchodzi do poczekalni.

Po chwili ukazuje się w drzwiach poczekalni starsza pani, czarno ubrana. Wzrok jej wyraża zdziwienie na widok przybyłych. Nie przyjmowała dotąd nigdy podobnie egzotycznych wizyt.

Ojciec popycha naprzód dziewczynkę i mówi:

— Przyprowadziłem wam moją córkę. Zostanie u pani 4 lata. Musicie z niej zrobić wielką damę. Musi umieć grać, tańczyć, śpiewać. Niech pozna języki.

Przełożona spogląda na przybyłych, mruży ironicznie oczy.

— Na mojej pensji kształcą się tylko córki wielkich panów.

Cyganowi oczy zabłysły złowrogo. Z dumą podnosi głowę i mówi:

— Jestem królem cyganów, a ona królewska córka — równa jest waszym księżniczkom.

Przełożona namyśla się... waha... Wreszcie sięga po ostatni argument.

— Ale pobyt waszej córki u mnie przez 4 lata kosztować będzie ośm tysięcy koron.

Król cyganów sięgnął po trzos i wysypał zeń na stół złoto.

— Oto ośm tysięcy koron dla pani, a dwa tysiące na ubranie dla Zoryny.

Zoryna pamięta dotychczas te błyski chciwości, jakie zapłonęły w oczach przełożonej i te ruchy rąk, przypominających szpony drapieżne, zgarniających złote monety.

Pamięta je dobrze, gdyż nieraz widziała je w swem środowisku cygańskiem.

* * *

Po odejściu ojca tęskniła bardzo za obozem, za wolnością, życiem koczowniczem, przestrzenią. Bała się swych nowych koleżanek. Zakonnice budziły w niej trwogę.

Lecz stopniowo dziki ptak leśny oswajał się ze swą klatką i przyzwyczaił się do niej.

Uczyła się pilnie. Wielkie postępy zwłaszcza robiła w muzyce i tańcu. Lubiła również lektury.

Koleżanki niektóre stroniły od niej. Inne otaczały ją przyjaźnią. I tych było więcej. W niewielu budziła lęk. Panicznie wprost bały się jej porywczej natury. Gdy wpadła w rozdrażnienie, drapała i kąsała koleżanki.

* * *

Polubiła Lwów. Zwłaszcza lubiła przyglądać się mu w nocy, gdy przy świetle księżyca wydawał jej się, jakby posrebrzony. Wsłuchiwała się w szum wichru, który hulał po ogrodzie klasztornym. Przypominał on jej lata wolności i wędrówek. Burza nie trwożyła jej. Z zachwytem niemal przypatrywała się niebu rozdzieranemu zygzakami błyskawic, a huk piorunów sprawiał jej radość. Śmiała się serdecznie z przestrachu, jaki budziło nadejście burzy wśród jej koleżanek.

Lata mijały. Biegły szybko.

Przed oczyma Zoryny przesuwa się dzień popisu.

Wielka sala szkolna przybrała wygląd świąteczny. Ściany ozdobiono zielenią. Estradę, na której za chwilę mają się ukazać uczennice, stroją kwiaty. Jasność bije od kilkunastu lamp. W długich rzędach krzeseł siedzą rodzice uczennic. Rozmawiają szeptem, by nie zamącić uroczystych chwil oczekiwania. Za krzesłami stoją pensjonarki, zbite w jedną wielką gromadę. Na ich twarzach, przemęczonych całoroczną pracą, widać podniecenie. Przejęte są wielce uroczystością.

Przychodzi chwila popisu Zoryny. Ukazuje się na estradzie w białej sukience. Włosy ma splecione w dwa długie warkocze. Dwoje, czarnych jak węgiel, oczął spoglądało śmiało na zgromadzoną publiczność.

Śniadą szyję okala sznur korali, czerwonych jak krew.

Przycisnęła skrzypce, wodzi smyczkiem po strunach i płynie melodja cudna, kołysząca, rzewna. Gra doskonale. Stwierdza to burza oklasków.

Kłania się — dziękuje. Schodzi z estrady i kieruje się ku swym koleżankom.

Odbiera gratulacje. Koleżanki uśmiechają się do niej życzliwie. Wszystkie są dla niej serdeczne, prócz Soleckiej.

Dumna to dziewczyna. Pogarda dla otoczenia maluje się w jej błękitnych oczach.

Gdy przechodziła obok hrabianki, usłyszała zdanie, wypowiedziane półgłosem:

— Nic dziwnego, że umie grać ładnie — przecież to cyganka.

Spojrzała dumnie na Solecką i zatrzymując się obok niej, powiedziała głośno:

— Jestem królewską córką, a ród mój napewno starszym jest od twojego.

Solecka zaśmiała się tylko ironicznie.

Zorynę porywa wściekłość. Gotuje się do skoku. Lada chwila rzuci się na Solecką.

Powstrzymują ją koleżanki.

— Opamiętaj się — mówią. — Ona ci zazdrości tylko.

Dziewczyna pozwala się odprowadzić koleżankom. Chmurna jest, nie odzywa się słowem do nikogo.

Usiadła i słuchała deklamacji koleżanki. Zamyśliła się. Czuje lekkie dotknięcie czyjejś ręki. Odwraca się. Zakonnica daje jej znak skinieniem głowy, by szła za nią. Wychodzi z sali popisowej.

— Ojciec przyjechał — mówi jej zakonnica.

Porywa ją szalona radość. Nie czeka na towarzyszkę. Biegnie szybko po schodach, przeskakuje naraz po kilka stopni. Wpada do poczekalni. Na środku pokoju stoi jej ojciec. Przygarbił się nieco, więcej siwych włosów pojawiło się na jego skroniach, lecz z całej jego podstawy bije ta sama, co dawniej, duma.

Wyciąga ku niej rękę.

Zoryna tuli się doń, przyciska usta do jego dłoni, całuje jego twarz.

Po długich chwilach pieszczoty, ojciec odsuwa ją od siebie i przygląda się jej badawczo. Uśmiecha się i z zadowoleniem kiwa głową. Bierze z krzesła zawiniątko. Rozwija je i wyjmuje z niego kwiecisty, hiszpański szal, zarzuca go na ramiona dziewczyny.

Patrzy na ojca zdumiona.

Cygan bierze ją za rękę.

— Chodźmy.

Opiera się.

— Muszę iść na górę, spakować rzeczy, zabrać skrzypce, pożegnać się z koleżankami.

Ojciec stanowczo odmawia.

— Nie, zostawisz to życie i wszystko, co z niem związane. Odejdziesz stąd tak, jak przyszłaś.

Dziewczyna waha się. Twarz ma zmartwioną.

— Nawet skrzypiec nie wolno mi zabrać.

— Nawet skrzypiec — chodź.

Ton, jakim to mówi, wyraża dobitnie, iż cygan nie zniesie sprzeciwu.

Ujmuje ją za rękę i prowadzi ją ku drzwiom. Zoryna idzie, ociągając się. Serce jej jest pełne żalu i niepokoju.

Jak ułoży się jej życie tam w obozie cygańskim?

ROZDZIAŁ II.

Baron i cyganka

I kiedy tak przebiega myślą swój pobyt w obozie marzy o przeszłości, chrzęst łamanych gałęzi i tętent kopyt końskich przywołuje ją do rzeczywistości.

Podnosi pobladłą twarz. W oczach jej maluje się tęsknota i żal.

Z gęstwiny leśnej wyłania się jeździec. To baron Erwig, właściciel majątku, w którego lesie rozłożył się obóz cygański.

Zatrzymał konia. Podniósł się na siodle i rozgląda się dokoła. Wzrok jego spotyka piękną cygankę. Podjeżdża ku niej i zatrzymuje się tuż koło niej, pochyla się ku niej z siodła i pyta żartobliwie:

— Skąd się tu wzięłaś, cudna rusałko?

Zmarszczyła się i dumnie odęła usta. Patrzy mu śmiało w oczy. Baron poważnieje pod wpływem jej ostrego spojrzenia. Mimowoli sięga po czapkę, odkrywa głowę.

Zoryny usta uśmiechają się lekko. Baron zeskakuje z konia i staje obok dziewczyny.

— Nie wiem kim jesteś, ani skąd się tu wzięłaś, ale widzę, że jesteś piękną i nie zdziwiłbym się, gdybyś była królewską córką.

Zoryna powstaje, podnosi dumnie głowę i mówi z naciskiem:

— Ja jestem córką króla cyganów. A ty kim jesteś!

W baronie budzi się żądza. Jego krew burzy się na widok tej pięknej, czarnej dziewczyny. Uroda jej oszałamia go.

Lecz i Zoryna nie pozostaje obojętną. Serce jej zaczyna bić przyspieszonem tętnem, a gorąca krew cygańska rozpala się.

— Jestem baronem Erwigiem, to mój las.

Dziewczynie oczy zabłysły radością, ręką wskazuje na ciemny bór.

— To pana las jest cudny! A ten zamek na wzgórzu?

Baron drży pragnieniem zabrania jej do siebie. Królewna cygańska. Cyganki mają krew gorącą, a pieszczoty mają moc większą, niż wino. Krępować się z nią nie potrzeba. Pragniesz, — weźmiesz. Nasycisz się — oddalisz...

Nachyla się nad dziewczyną i szepce:

— Tak ,to mój, ale jeśli zechcesz, będzie on twoim. Chodź ze mną. Dam ci miłość i bogactwo. Wyciąga do niej rękę.

Zoryna nie odpowiada. Splotła ręce na piersiach. Myśli.

Przed oczyma przesuwa się jej wizja Lwowa tętniącego życiem. Widzi zbytkowne pojazdy, a w nich piękne panie w bogatych strojach. Wizja ta ustępuje nowej, bardziej wyrazistej, z jej obecnego życia. Przesuwa się przed jej oczyma obóz cygański z ogniskiem pośrodku, wokół którego pełzają nagie dzieci, brudne, rozczochrane, napół ubrane cyganki i mężczyźni wiecznie zajęci swą pracą, czy poszukiwaniem łupu.

Wzdryga się z obrzydzeniem. Ah, uciec stąd jak najprędzej! Jednakże duma królewska bierze w niej górę. Dziewczyna zwraca na barona pociemniałe przepastne źrenice.

— Ja nie należę do tych, kogo można brać na chwilę, a potem odrzucić jak zabawkę!

Baron chwyta jej rękę i przyklęka na jedno kolano.

— Przysięgam się na honor mój, że zawsze będziesz mi drogą i nigdy cię nie opuszczę!

Ujmuje ją za ręce i pociąga ku sobie.

Zoryna przestaje się wahać. Dość ma już tego życia koczowniczego, niewygód, tych wiecznie zazdrosnych spojrzeń młodych cyganek, natarczywości cyganów.

Powstaje szybko z ziemi. Gitara spadła z jej kolan z żałosnym dźwiękiem. Baron wskakuje na konia i nachyliwszy się chwyta wpół cygankę, sadza ją obok siebie na siodle. Ostrogą bodzie konia i tuląc do siebie dziewczynę znika w gęstwinie.

* *
*

A w obozie tymczasem zabierano się do jedzenia. Cyganie pożywiają się ze wspólnych mis glinianych, które wokoło obsiedli.

Jedynie król i jego córka posiadali przywilej jadania osobno. Mira podaje królowi zupę na srebrnej misie i kładąc dwie srebrne łyżki obok ogląda się za Zoryną. Nie widząc jej nigdzie w pobliżu wchodzi do lasu i złożywszy dłonie w kształcie trąbki, woła:

— Zoryna! Zoryna!!

Odpowiedziało jej tylko echo.

Mira zdziwiona wchodzi wgłąb lasu. Nie należała ona do ich szczepu, dołączyła się do obozu, gdy przechodził on przez Bośnię. Widząc, że król po śmierci matki Zoryny nie wybrał sobie jeszcze żony, marzyła, iż zajmie kiedyś jej miejsce. Na przeszkodzie stawała jej Zoryna i stara Kira, która wykarmiła córkę królewską i była poniekąd gospodynią w obozie.

Dochodząc do miejsca, gdzie siedziała Zoryna, zdumiała się ujrzawszy leżącą na trawie gitarę, a w dali wśród drzew odjeżdżającą parę. Radość zawistna ogarnęła ją. Chwyciła gitarę i potrząsając nią pobiegła do obozu, wołając głośno:

— Macie ładną królewnę! Uciekła od was w objęciach obcego mężczyzny na jego koniu.

Cyganie otoczyli ją kołem, oglądając gitarę pełni ciekawości.

Kira załamała ręce i wybuchnęła głośnym lamentem. Nagle wszyscy zamilkli. Z ziemi podniósł się wolno stary cygan. Wyglądał, jak szatan zemsty. Oczy jego jarzyły się niesamowitym ogniem. Żyły nabrzmiały mu na czole i skroniach.

Podniósł rękę do góry i z zaciśniętej krtani wydobyły się słowa pełne bólu i rozpaczy:

— Przeklęta niech będzie! Po trzykroć razy przeklęta!!

Stara Kira przypadła mu do nóg i jękliwym głosem błagać go poczęła:

— Nie przeklinaj jej, nie przeklinaj jej...

Lecz stary cygan zadraśnięty w swej dumie był niewzruszony.

* *
*

Zoryna pod wpływem miłości barona, w ogniu jego pieszczot, wypiękniała, rozwinęła się, ale jednocześnie pokochała go namiętnie. Południowa jej krew rozgorzała miłością wielką, nieobliczalną.

Poza baronem nie istniał dla niej nikt na świecie.

On w początkach odpłacał się jej wzajemnością. Urządził jej mieszkanie z wielkim przepychem w komnatach wieży zamkowej. W zimie wyjechał z nią do Wiednia, gdzie otaczał ją zbytkiem, zaspakajał wszystkie jej zachcianki, pysznił się jej urodą i wdziękiem. Bawiło go jej przywiązanie, a sceny zazdrości jeszcze nie zaczęły go nudzić.

Jednakże powoli przychodził przesyt i znużenie. Pieszczoty Zoryny, nie wywoływały w nim tych dreszczów rozkoszy, jakie sprawiały mu w pierwszych miesiącach miłości. Jej zazdrość i podejrzliwość męczyły go. Nie mógł wprost znosić jej gwałtownych wybuchów.

W miarę jak uczucie cyganki potężniało, stawało się coraz głębsze, baron coraz bardziej stawał się chłodny i nieczuły na jej wdzięki.

Przychodziły wprawdzie chwile, gdy urok jej budzi w nim dawne namiętności pierwszych dni, ale chwile te trwały krótko i zdarzały się coraz rzadziej.

Zoryna odczuwała ten chłód, ale jak prawdziwa kobieta, odsuwała od siebie tę smutną prawdę, bała się spojrzeć jej prosto w oczy, wolała oszukiwać siebie, łudzić się.

* *
*

Będąc we Lwowie, wybrali się razem pewnego dnia wieczoru do opery. Grano „Otella". Towarzyszył im hrabia Czachowicz. Był to młody, elegancki człowiek, posiadający znaczny majątek. Zoryna niemal od pierwszej chwili wywarła na nim duże wrażenie, tak, iż od dłuższego czasu asystował jej, starając zaskarbić sobie jej łaski.

Zoryna w eleganckiej sukni i perłach na szyi czuje, że wygląda kusząco, sprawia jej to wielką przyjemność. Uśmiecha się zalotnie do swych adoratorów, którzy przybyli do ich loży, by złożyć hołd jej piękności. Ogarnia ją pogodny nastrój. Rozgląda się ciekawie po widowni. Bawią ją zachwycone spojrzenia mężczyzn, śmieszą ją zgorszone miny kobiet. Nie obchodzi ją to tak bardzo. Pogańska jej dusza nie rozróżnia zła i dobra. Pojęcia te pozostawały dla niej obce.

Nagle serce jej zabiło mocniej, oczy spochmurniały.

Do loży naprzeciwko wchodzi starszy pan z siwą brodą, czarno ubrana dama i śliczne złotowłose dziewczę. Panna, zająwszy miejsce na przodzie loży, ciekawie rozgląda się po sali. Spojrzenie jej pana na lożę Zoryny. Zwarły się wzrokiem. Starły się ich ostre spojrzenia, jakby pierwsze skrzyżowanie szabel. To Iza Solecka, nienawistna hrabianka z pensji, jedyna koleżanka, która odnosiła się wrogo do Zoryny. Hrabianka uśmiecha się ironicznie. Zoryna ogląda się poza siebie, chce coś powiedzieć baronowi. Ale przyjaciel jej cofnął się w głąb loży, a gdy przyzywa go ruchem ręki, nie rusza się z miejsca. Rozdrażniona cyganka, zwraca się do hrabiego Czachowicza, uśmiechając się doń obiecująco. Hrabia przysuwa się do niej poufale.

— To hrabianka Solecka? — pyta go, wskazując wachlarzem lożę naprzeciwko.

Hrabia przytakuje i patrząc na Solecką mówi:

— Szczęśliwy ten Karol, posiada miłość tak cudownej osoby, jak pani i jest jednocześnie narzeczonym tej uroczej i bogatej hrabianki.

Wiadomość ta spadła na Zorynę jak grom z jasnego nieba. A przecież przed chwilą niebo było tak jasne, tak pogodne, czuła się tak szczęśliwą, gdy nagle przyszła ta straszna chwila.

Nie patrząc się na Czachowicza pyta jakby ochrypłym głosem.

— To baron zaręczony? Odkąd?

Czachowicz dziwi się.

— Pani o tem nie wiedziała? Zaręczeni są od lat dziecinnych, ale w rodzinie hrabianki są dziedziczne suchoty, więc lekarze zalecili jej poczekać jeszcze z małżeństwem. Właśnie powróciła z dłuższego pobytu w Egipcie, gdzie bawiła dla zdrowia

Zoryna usta zagryzła do krwi, palce jej zaciskają się koło szyldkretowego wachlarza, który łamie się w kawałki.

Czachowicz widzi rozpacz i ból Zoryny. Napełnia go to nadzieją, iż cyganka stanie się łaskawszą dla niego. Schyla się, podnosi szczątki kosztownego cacka i patrząc się czule na Zorynę chowa je do kieszeni.

— Pani pozwoli ,że zachowam to sobie na pamiątkę.

Przytakuje ,nie patrząc nawet na Czachowicza. Nie obchodzi ją zupełnie ten nadskakujący hrabia. Niecierpliwią ją jego hołdy. Całą jej świadomość wypełnia jedna straszna wiadomość. Przyszła tak nieoczekiwanie. Jej królewicz z bajki, jej Karol ma narzeczoną! Zabierze jej ona Karola. I tą właśnie kobietą jest nienawistna jej, dumna hrabianka Solecka, pogardzająca cyganką.

Cierpi jej miłość własna, głęboko zraniona. Więc ona ma ulec pokonana przez tę wyniosłą blondynkę, ustąpić z pola rywalce? Nie, przenigdy. Rozpacz chwyta Zorynę. Chciałaby krzyczeć, ręce jej drżą, dygocze cała, jakby w gorączce. A musi siedzieć spokojnie i cicho, gdy zdaje się jej, że ten piękny świat, w którym żyła przez długie miesiące runął nagle.

Światła gasną, kurtyna podnosi się, na scenie rozgrywa się scena zazdrości.

Baron zbliża się do Zoryny i dotyka jej ramienia.

Cyganka zwraca się ku niemu, oczy jej płoną złowrogo, usta ma zacięte.

Baron nie patrząc jej w oczy mówi cicho:

— Głowa mnie boli, wychodzę z teatru. Spotkamy się na kolacji.

Zoryna mocniej przygryza wargi. Zazdrość chwyta ją za serce, robi jej się ciemno w oczach. Idzie do niej... do tej nienawistnej hrabianki.... nie wróci już więcej. Ach, zabić ich oboje, a potem skończyć ze sobą.

Baron nie przeczuwa nawet, co się dzieje w duszy Zoryny spokojnie wychodzi z loży. Widok narzeczonej obudził w nim jakby jakieś zawstydzenie. Miał wrażenie ,że patrząc na nią w loży cyganki, ubliżał jej, wolał więc opuścić teatr.

Zoryna drżącą ręką kieruje lornetkę na lożę, w której siedzą Soleccy. Wszyscy troje zapatrzeni są na scenę. Karola wśród nich niema. Lżej się jej zrobiło. Uspokoiła się.

Wieczorem, gdy wrócili z teatru wybuchła burza. Baron wtulił się w kąt minjaturowej kanapki w saloniku, czeka z rezygnacją aż burza przeminie.

Zoryna chodzi po saloniku. Przypomina rozgniewaną panterę. Nietylko ruchy jej gibkie i zręczne, ale i oczy gorejące i nozdrza rozdęte przypominają to drapieżne zwierzę. Chodzi po saloniku, całe jej ciało drży nerwowo.

Nagle zatrzymała się przed baronem i kładąc mu ręce na ramiona rzuca zdławionym głosem.

— Ty ją kochasz?!

Baron na to przymruża oczy, poczem wstaje wziąwszy ją za ramię prowadzi do lustra. Tu zatrzymawszy się patrzy z uśmiechem i mówi:

— Przejrzyj się w lustrze, a przekonasz się, czy można cię nie kochać.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

Życzenia Wesołych i Szczęśliwych Świąt Kochanym swoim Sympatykom ślą
Zofja i Wujek Janusz.

PRZED PROGIEM...

Jak żebrak stoję przed wieczności progiem
i myślę, czem jest istność przedgrobowa.
— Czy tylko jakimś ulotnym prologiem
do księgi, co się gdzieś przedemną chowa?

O, śmierć zawzięcie swych tajemnic broni
nikt jej tajników nigdy się nie dowie,
nikt tajemnicy rąbka nie odsłoni,
choćby się wieki całe nad tem głowił.

Może śmierć śmieje się szyderczym śmiechem,
że dręczę ducha tą zagadką wściekłą,
lub mrozi właśnie kogoś swym oddechem,
aby odsłonić: nicość, raj, lub piekło.

Jadźka z Kujaw.

„MAMY ZAMIAR TROCHĘ POFIGLOWAĆ"

„Gwiazdeczka" i „Śnieżyczka" to bardzo wesołe Dziewczynki. „Mamy zamiar trochę pofiglować w „Krainie"! — oświadczają na wstępie. Chyba mi każdy przyzna, że taka czupurność bynajmniej nie oburza, lecz ujmuje?

Niżej podaję króciutkie rysopisy nowych Sympatyczek. Komu przypadną do gustu i serca, ten niech napisze list.

„Gwiazdeczka" — młodziutka, wysmukła blondynka o piwnych oczach, błyszczących, jak gwiazdeczki. Usposobienie bardzo wesołe. Poszukiwaczka przygód i amatorka wesołego towarzystwa.

„Śnieżyczka" — bardzo ładna dziewczynka o niebieskich oczach, czarnych warkoczach i śnieżnej, aksamitnej cerze. Jest jedynaczką. Samotność często jej ciąży, dlatego pragnie poznać bratnią duszę.

MYŚLĘ...

„Juruś" prosi o skreślenie do Niego kilku słów. Jest młodym blondynem, zamiłowanym w tem, co piękne i dobre.

Apel i przedstawienie „Jurka" bardzo lakoniczne. Myślę jednak, że ta zwięzłość i prostota także będzie potrafiła przemówić do niejednego serduszka.

ADRESU NIE MOGĘ PRZESŁAĆ

„Dumny Jeleń". Życzeniu Pana stało się zadość — listy powędrowały w świat, a obecnie pewnie Pan koresponduje w najlepsze?

Pozdrowienia przeznaczone dla „Sybilli" — przekazuję, jednakże adresu Jej z zrozumiałych względów nie mogę Panu przesłać.

Podczas pobytu w Żninie może Pan śmiało zajrzeć do redakcji, gdzie zastanie i mnie. Czekam więc i serdecznie pozdrawiam.

OJCZE NASZ...

Mcim kolegom z Sosnowca

Wiem, że nadejdzie kiedyś ten „dzień czarny",
Gorszy o wiele od dni innych stu,
Że będę musiał żegnać żywot marny
I złożyć głowę do wiecznego snu...

Śmierć do mnie wtedy wyszczerzy swe zęby
I kosą smutną pieśń „wydzwoni" mi,
Ja wstanę, pójdę przez obłoków kłęby,
Aby zapukać do „Wieczności" drzwi...

Cmentarna cisza wnet chłodem owieje
Me ciało, które zamieni się w proch,
Czasem się na grób łez struga poleje,
Lub przerwie „spokój" matki mojej szloch...

Lecz, choć nadejdzie to „ciężkie rozstanie"
I choć nastąpi życia mego kres,
Duch mój na zawsze śród Was pozostanie...
Nie płaczcie, proszę, jam nie wart jest łez!.

Gdyby Wam czasem za mną tęskno było,
O jedno proszę — ja, przyjaciel Wasz:
Przyjdźcie na cmentarz i nad mą mogiłą,
Zmówcie cichutko polskie „Ojcze nasz!..."

Mieczysław Grzegorski.

POLECENIE WYPEŁNIAM

„Samotna Oleńka". Droga Pani! nie trzeba się nigdy zrażać niepowodzeniami, lecz przeciwnie starać się je dotąd usuwać, dopóki się nie osiągnie zamierzonego celu. Dobrze więc Pani zrobiła przesyłając nowe listy, celem nawiązania korespondencji skimś życzliwym, któryby był naprawdę dla Pani przyjacielem.

Polecenie Pani wypełniam i ślę załączone w liście pozdrowienia: „Tabu" — „Marynie" — „Ice" — „Dzince" — „Białej Uajali" — „Pellowi" — „Ny-czarowi" — „Szczeremu Ryśkowi" — „Smutnemu Felowi" — „oHrdowi" i „Te-Em", z prośbą, aby ten ostatni napisał do Pani parę słów.

„LUBIĘ PISYWAĆ LISTY"...

„Wrzos z nad Noteci". Cieszę się bardzo, że „Moje Powieści" spodobały się Pani od pierwszego spojrzenia i od rąd będzie Pani ich stałą Przyjaciółką. Nawiązanie kontaktu z Sympatykami nie będzie trudne. Napewno ktoś zainteresuje się Panią i pierwszy prześle parę szczerych słów. Musi tylko Pani cierpliwie poczekać.

Część listu, w której pisze Pani o sobie — przedrukowuję:

„Jestem ciemną blondynką o niebieskich oczach, bardzo skromną i ogólnie lubianą. Bardzo lubię pisywać listy dlatego wstępuję w szeregi Sympatyków „Krainy szczerości" i mam nadzieję, że tutaj właśnie spotkam jakąś bratnią duszę, która podzieli ze mną wszystkie smutki i radości. Cały dzień pracuję w biurze, jedynie niedzielę mam wolną. Korzystam więc z tego i po całotygodniowej, monotonnej pracy, urządzam sobie dalekie wycieczki z nieodłącznym mcim towarzyszem — aparatem fotograficznym. Ślę pozdrowienia wszystkim członkom wielkiej „Rodzinki".

A propos brakujących numerów „Moich Powieści: czy je Pani już otrzymała?

Serdecznie pozdrawiam i — Wesołych Świąt!

ŻYCZENIE

„Nieznajomy". List przesłałam dalej. Życzę Panu jak najlepszego powodzenia w korespondencji i proszę o nawiązanie bliższego kontaktu z nami. Łączę szczere pozdrowienia.

MOŻE PRZEŚLĄ?

„Roześmiana Lu" i „Czarująca Ada" dwie sympatyczne Pomorzanki pragną poznać serdecznych przyjaciół. Przesyłają szczere pozdrowienia: „Marzycielskiemu Brunetowi" — „Smutnemu Felowi" — „Ursusowi" — „Gwidonowi" i „Dumnemu Jeleniowi". Może wymienieni Panowie zrobią miłą niespodziankę dwom koleżankom i na Gwiazdkę prześlą im jak najradośniejszy liścik?

APEL DO „SMUTNEGO FELA"!

„Dzika Cyganka". Dziękuję Pani za miły liścik oraz „Smutnej Indjance" za pozdrowienie i niżej zamieszczam apel do „Smutnego Fela":

„Ślicznie dziękuję Ci, „Smutny Felu", za miłe pozdrowienia. O ile jesteś smutnym i samotnym, a chciałbyś nawiązać korespondencję — napisz do mnie szczery list. Odpowiedź będzie szybka.

Równocześnie przesyłam miłe pozdrowienia i przyjacielski uścisk dłoni „Samotnemu Sokołowi".

PAMIĘTAJCIE!

„Jótek" pragnie za przykładem innych nawiązać skimś korespondencję, polecam więc Go pamięci miłych i chętnych Pań.

„Jestem absolwentem Szkoły Rolniczej. Mam lat 27. Ciemny blondyn, wzrost wysoki. Mieszkam na wsi, gdzie posiadam większe gospodarstwo.

Jedyną moją rozrywką w okresie zimowych wieczorów, to słuchanie radja. Chciałbym sobie przysporzyć jednak jeszcze jednej rozrywki: korespondencji — nie wiem tylko, czy ktoś obdarzy mnie liścikiem.

„Tereni z Szlachetnego Dworku" ślę pozdrowienia i proszę Ją serdecznie o parę słów".

NADZIEJA

„Szary Wróbel" ma nadzieję, że znajdzie się ktoś z naszej „Rodzinki" i nim się zainteresuje.

„Jestem młodym, ciemnym blondynem. — przedstawia się nam — Mieszkam w małem miasteczku. Okolice tutaj bardzo piękne. Brak mi bardzo kogoś, skim mógłbym podzielić się swemi myślami. Milutkie pozdrowienia przesyłam: „Sztubaczce z Bydgoszczy" i „Pensjonareczce".

SAMOTNOŚĆ

„Uroda życia i Ślicznotka" przedstawiają się Sympatykom „Krainy":

„Jestem 19-letnią, wysoką blondynką o niebieskich oczach a bujnych włosach — imię moje: „Uroda życia". Bardzo lubię jeździć konno i rowerem, a w lecie pruć kajakiem szmaragdowe fale jeziora." A teraz oddaję głos Koleżance".

„Nazwałam się „Ślicznotką". Posiadam złote loki i bardzo dobrą zaletę: radosne usposobienie. Podobają mi się bardzo mundurki. Ponieważ odczuwamy nieraz z Koleżanką osamotnienie prosimy Sympatyków o liściki. „Atrodycie z Hultajskiej Trójki" ślemy moc całusów".

BRAK ODPOWIEDNIEGO TOWARZYSTWA

„Szarunia". „Na nudy się nie skarżę, gdyż wieś pokochałam i żyłam się z nią. Jestem kierowniczką agencji pocztowej. Praca wypełnia mi prawie cały dzień, a że przy tem jestem stałą czytelniczką „Moich Powieści" i przemiłej „Mojej Przyjaciółki", którą nazywam „jedynem okienkiem na świat", więc jest nie możliwem, aby się móc nudzić. Brak mi jedynie kogoś, przed kim mogłabym się podzielić swą dolą i niedolą. Może się więc znajdzie ktoś taki? Mam lat 24 i mieszkam zupełnie sama wśród obcych, gdzie zupełny brak odpowiedniego towarzystwa.

Jakże się ucieszę, gdy przy sortowaniu listów i dla siebie kiedy coś odnajdę!"

Kochana „Szaruniu!" zamiast specjalnego apelu, oddałam do druku Twój list. Sądzę, że znajdzie on należyty oddźwięk wśród Sympatyków „Krainy". Przyjm ode mnie szczere uściski i życzenia jak najmilszego spędzenia Świąt Bożego Narodzenia.

W „KRAINIE" TWORZY SIĘ OBÓZ CYGANEK

„Zaczarowana Cyganeczka". Jeszcze jedna Cyganka w „Krainie"! Jak widzę, powstaje u nas cygański obóz...

„Zaczarowana Cyganeczka" zwraca się do swych sióstrzyczek:

„Cyganeczko" — „Piękna Cyganeczko" — „Opuszczona Cyganko" i „Cyganko z gondoli złudy!" — przyłączam się do Was także, Kochane Siostrzyczki." Myślę, że się będę wśród Was dobrze czuła. Może która z Was skreśli do mnie kilka słów? Ucieszę się bardzo. Ślę każdej z Was serdeczne pozdrowienia i siostrzany uścisk dłoni."

„JESTEM BARDZO SMUTNA"...

„Biała Niezapominajka" dziękuje „Jurkowi z Bydgoszczy" za pozdrowienia.

„Jestem bardzo smutna, gdyż życie dało mi dużo rozczarowań i goryczy" — skarży się w swoim liściku.

Przesyłam Ci więc, Kochana „Niezapominajko", wyrazy współczucia i proszę jakąś wesołą, sympatyczną osóbkę, aby mnie wyręczyła i przesłała „Białej Niezapominajce" na święta wiele serdecznych i pełnych otuchy słów? Czy znajdzie się jakiś ochotnik?

PRZESYŁAM POZDROWIENIA

„Halinka". Abonament „Moich Powieści" uregulowała Pani dobrze. List przekazałam.

„Ryśce D." — „Ledi" — „Dziewczynce z Bydgoszczy" i „Kmicicowi" — przesyłam w imieniu Pani pozdrowienia, zaś Panią całuję serdecznie.

KTO ZABAWI SIĘ W GWIAŹDORA?

„Sylwanette“. Kto z Sympatyków zabawi się w gwiazdora i obdaruje „Sylwanette“ miłym, kochanym listem? Sympatyczna ta Panienka nie otrzymała dotychczas ani jednego listu. A szkoda, bo „Sylwanette“ korespondująca skimś potrafiłaby należycie wywiązać się ze swego zadania.

Niżej podaję słowa, które „Sylwanette“ poleciła mi przedrukować:

„Dziękuję Ci serdecznie, „Dzinko“, za pozdrowienia, które w pełni odwzajemniam. Może napiszesz do mnie parę słów, będę Ci bardzo wdzięczną.

Zainteresowałam się także „Meteorkiem“ i „Mieciem 09“. Ucieszyłabym się bardzo, gdyby Ci Panowie napisali do mnie, choć krótkie liściki. Odpowiedź dałabym napewno“.

BRAWO!

„Młodziutka Ślązaczka“. Dziękuję Pani bardzo za dobre chęci pomagania mi w pracy. Niestety, w praktyce jest to niemożliwe, gdyż dzieli nas za wielka przestrzeń.

Pisze Pani, że nie przejmuje się tem, choć Jej apel w „Krainie“ o liściki, przeminął bez echa. Brawo! Tak być powinno! Po co się martwić i zniechęcać, kiedy sytuacja nie jest bez wyjścia.

Pozdrowienia dla „Podchorążego Janka“ — przekazuję i proszę Go w imieniu Pani o kilka słów.

Pyta Pani, czy do każdego listu trzeba dołączać swój adres? Nie! Wystarczy najzupełniej podać raz. Serdecznie Panią pozdrawiam i czekam na nowy list.

DOPIERO DZISIAJ

„Młody urzędnik“ dawno już chciał nawiązać bliższy kontakt z „Krainą“, jednakże brak czasu nie pozwalał Mu na to. Dopiero dzisiaj zdobył wolną chwilę i oto przedstawia się naszemu gronu:

„Jestem ciemno blondynem o niebieskich oczach, średniego wzrostu, liczę lat 25 i mieszkam na wsi, w bardzo smutnej okolicy. Ponieważ czuję się bardzo osamotniony z powodu braku odpowiedniego towarzystwa w tutejszej wiosce, więc może, która z Pań należących do „Krainy“ skreśli do mnie parę słów, celem nawiązania korespondencji. Zasyłam równocześnie moc pozdrowień dla „Tereni z szlacheckiego dworku“ i dla „Kwitnącego Wrzosu“.

CZY INTRYGUJE?

„Samotna Dzidzi“ przesyła dla „Stelisa“ następujące słowa, które niewątpliwie Go bardzo zaintryguja:

„Ślę Ci serdeczne pozdrowienia, Chłopczyku w zielonym mundurku, ktoś, kto mieszka od Ciebie o miedzę. Często spotykam Pana w S...... Oj, ciekawy Pan, com za jedna! „Samotna Dzidzi“ — niech to Panu wystarczy!“

DZIĘKUJĘ

„Te-Em“. Dziękuję Panu za poświęcenie mi wiersz ka. Fakt ten wzruszył mnie bardzo. List wysłałam. Co się stało z wierszem poświęconym p. „Dusi“, zapewnie już Pan się dowiedział?

DLACZEGO?

„Anery 20“ dziękuję tym wszystkim, którzy Jej przesłali liściki i zapytuje ich, dlaczego nie otrzymuje odpowiedzi na swoje listy.

Droga Pani! po załatwieniu najważniejszego przesyłam Pani krótką odpowiedź na zadane mi w liście pytanie: O swoim przyszłym losie tylko Pani sama może decydować. O jednem tylko niech Pani pamięta: tam, gdzie w grę wchodzą niezwykle górnolotnym stylem — odebrałam. nałogi, nie będzie pełnego szczęścia.

MYLI SIĘ PANI

„Sarenka“. Z listu Pani dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy. Hm, hm, to tak się sprawy przedstawiają! Zadziwia mnie i daje dużo do myślenia ta dwulicowość niektórych osób. Trudno jednak zaradzić tej ludzkiej słabości, prawda? Podobają mi się bardzo zapatrywania Pani, rozsądny krytycyzm i uzasadniona pobłażliwość na niektóre rzeczy. To też przesyłam Pani serdeczny, siostrzany uścisk dłoni na znak wzajemnego się zrozumienia.

Co do adresu, to myli się Pani. Osoba, o którą Pani pyta, nie mieszka w Inowrocławiu.

NAWIĄZANIE KORESPONDENCJI

„Nimfa“ wstępuje do grona przyjaciół „Krainy“ i pisze:

„Mieszkam w Puszczykowie pod Poznaniem, gdzie świat jest „zabity deskami“. Nic dziwnego, że nudzę się tutaj. Obecnie wpadłam na pomysł nawiązania korespondencji z Czytelniczkami i Czytelnikami „Moich Powieści“. Może ktoś zainteresuje się „Nimfą“? Ślę pozdrowienia: „Haneczce“, „Arabce“ — „Te-Em“ i wszystkim Czytelnikom“.

POMIMO SCHYŁKU JESIENI, W „KRAINIE“ ZAGOŚCIŁ „CHRABĄSZCZ“

„Majowy Chrabąszcz“. List Pana, napisany pięknym, górnolotnym stylem — odebrałam. Dziękuję za niego i proszę bardzo o częstsze wiadomości.

Jeżeli tylko uszczęśliwi niewymownie Pana zamieszczenie listu, to mało Panu do szczęścia potrzeba. Nie namyślam się więc dużo i odrazu spełniam Pańskie życzenia:

„Jestem „Majowym Chrabąszczem“. Wiodłem żywot szczęśliwy i beztroski. Ale skończył się maj, przygasło słońce i zwiędły bzy... Nastały ponure, czarne dni grudniowe. Wtedy jakaś tęsknota, przypięła mi skrzydła i zawiodła do „Krainy szczerości“ — krainy słońca, gdzie panuje wieczny maj, pomimo, że ponuro na świecie. Czuję, że tu/aj będzie mi znowu dobrze. Chciałbym także pogawędzić sobie od czasu do czasu z jakąś miłą osóbką, apeluję więc o liściki do: „Leśnej Sarenki“ — „Leśnej Rusałki“

BĄDŹMY WIĘCEJ SZCZĘŚLIWYMI A MNIEJ CIERPIĘTNIKAMI

„Duśka“. List Pani, prawie od początku do końca filozoficznie nastawiony, dał mi dużo do myślenia. Rzadko, która z nowoczesnych panien posiada tak wzruszająco czyste myśli, pojęcia i zapatrywania na życie, jak Pani. W odpowiedzi na Jej wywody, proszę bardzo nie sprzeniewierzać się nigdy swym tak pięknym zapatrywaniom i nigdy nie porzucać tych czystych myśli, które są zdrowiem i wielkim skarbem młodych dusz. Z swojemi zasadami pozostanie Pani zawsze wartościową jednostką i pełną godności kobietą.

Uderzyła mnie także w liście Pani głęboka wiara w szczęście. Przyznaję Pani rację, że „szczęście chodzi za nami, jak nasz cień, potrzeba tylko umiejętności, by je poszukać i przytrzymać.“ Tak, Droga Pani, szczęście nie jest tak bardzo nieosiągalne, jak się niektórym wydaje. Szczęście jest w nas samych i od nas zależy, aby widzieć nawet w najdrobniejszych przejawach życia jego uśmiechy i przebłyski. Jednakże ludzie nie doszukują się tego, wolą karmić się żalami i smutkiem i w każuej drobnej rzeczy dopatrywać się nieszczęść i ciemnych stron. Myśl o budowaniu w duszy szczęścia jest od nich bardzo daleka — pociąga ich więcej cierpiętnictwo i aureola wmawianego sobie nieus annie męczeństwa.

Porzucam jednak te refleksje i zapytuję w imieniu Pani p. Lolka B. z Kielerowa, czy na ten sam adres może Mu Pani przesłać fotografię. P. Edka W. z Bydgoszczy proszę o list, gdyż na pocztówkę odpowiedzi nie będzie.

„Stęsknionemu Jurkowi“ ślę pozdrowienia, dziękując za otrzymane. Dla „Tereni z szlachetnego Dworku“ i „Wesołej Iruty“ — serdeczne uściski.

Kończąc odpowiedź, przesyłam Pani siostrzany uścisk dłoni, a na zapytanie, czy warto pisywać dalej wiersze, odpowiem Pani obszerniej w jednym z najbliższych numerów. Równocześnie proszę o nadesłanie najnowszych utworków, celem ich przejrzenia i zorjentowania się w postępach Pani.

NIECH CI BĘDZIE ZAWSZE RADOŚNIE

„Dumka“. „Smutno w naszym domku, bo i w lesie smutek. Skarżą się drzewa na swoją niedolę — zimno. Niedługo jednak białe, śnieżne gwiazdki zaproszą cały świat i znowu będzie radośnie. Przytulam głowę do Pani białych dłoni i całuję mocno“ — piszesz do mnie słodka, pocieszna Dziewczynko. Nie uwierzysz, jak bardzo pragnę, aby Ci było zawsze dobrze i radośnie. Życzę Ci tego serdecznie, a szczególnie podczas Świąt Bożego Narodzenia.

„Blance“ — „Szarej Dziewczynce“ — „Giaurowi“ — „Te-Em“ i „Ursusowi“ — ślę w imieniu „Dumki“ pozdrowienia.

PODZIĘKOWANIE

„Ikar II.“ dziękuje „Akri“ oraz „Błyszczącej Gwiazdeczce“ za pozdrowienia i w pełni je odwzajemnia.

CZEKAMY

„Sahib“. I znowu nasze grono się powiększyło o jedną osobę — „Sahiba“. Sympatyczny ten Pan w pierwszym swoim liście do „Krainy“ ogranicza się tylko do pozdrowień, przeznaczonych dla: „Eden“ — „Ari“ — „Zeni z lasów“ i jaszki z Kujaw. O sobie przyrzeka napisać coś później. Czekamy więc, „Sahibie“.

NIKT NIE ZAPYTYWAŁ

„Różyczka z Lublina“. O adres Pani nikt się dotychczas naszej redakcji nie zapytywał. Zresztą bez wyraźnego zezwolenia osoby kryjącej się pod pseudonimem, adresu jej nikomu nie udzielamy.

A teraz dziękuję Pani za nastrojowy, refleksyjny liścik, który mi bardzo przypadł do gustu pomimo, że wydawało się Pani, że go nie ocenię przeczytam.

Za „uściski bratnie, ślicznutkie pa! i całusów tysiąc dwa“ — bardzo serdecznie Pani dziękuję w imieniu naszej „Rodzinki“ i swojem.

„CHCIAŁABYM WIDZIEĆ CAŁY ŚWIAT“...

„Uśmiech“ to młodziutka, ciemna blondynka, przystojna, w miarę żywa i spokojna. W liście swoim pisze:

„Malenka doza optymizmu pozwala mi patrzeć na świat trochę jaśniej, niż czasami jest w rzeczywistości. Pożalem jestem trochę skrytą, prawdopodobnie dlatego, że nie znam nikogo takiego, któremu mogłabym z całem zaufaniem powierzyć swoje myśli.

Bardzo lubię podróżować i chciałabym zwiedzić cały świat przy użyciu wszelkich środków lokomocji.“

Ciekawa jestem, kto napisze do „Uśmiechu“ i zdobędzie jego całkowite zaufanie. A może ktoś, kto moc podróżował i zwiedził dużo świata, podzieli się z „Uśmiechem“ wrażeniami, gdyż tak i list byłby dla nowej Członkini naszej „Rodzinki“ zapewnie najmilszym i najciekawszym.

Teczka Wuja Janusza

WESOŁYCH ŚWIĄT!

„Wesoła Iruta“. Tym razem z wierszyków Pani nie jestem zupełnie zadowolony. Rytm i rym jest w nich bez zarzutu, tylko zobrazowanie myśli niezupełnie jasne. A to już wystarcza, aby utworki uznać za słabe.

Dziękując Pani za obszerny i sympatyczny liścik, proszę o nadesłanie innych wierszy i serdecznie ściskam Pani rączki na pożegnanie. Wesołych Świąt!

PROSTE, LECZ SZCZERE ŻYCZENIA

„Stella Maris“. Chciałbym Panią pocieszyć serdecznie, bo widzę i czuję, że smutno Pani. Jednakże prócz kilku słów nic wymowniejszego nie mogę Pani przesłać. Mimowoli przypominam sobie fotografię, kiedyś otrzymaną, z której wygląda twarzyczka Pani o bardzo inteligentnym wyrazie twarzy, jednak dziwnie smutna. Chciałbym bardzo, aby jakieś wielkie szczęście pogodnie ją rozpromieniło i by nigdy się Pani nie skarżyła na apatję i zniechęcenie.

Nie wiem, jak wypadły imieniny Pani, ale wiem, że wrażeniami podzieli się Pani ze mną, jak zwykle. Chciałem Pani przesłać osobiście moje najszczersze życzenie, niestety, przeszkodziła temu absorbująca mnie bardzo praca. Dzisiaj więc skreśliłem powyżej to, co szczerze Pani życzę. Krótko i prosto, ale z całego serca.

Żegnam Drogą Panią i życzę Jej jak najmilszego spędzenia Świąt Bożego Narodzenia.

WIECZÓR ZIMOWY

Tak biało na świecie, spływa szary mrok —
Tak pusto, tęsknota chodzi za mną w krok,
Śmiejąc się szyderczo, że nieznany żal
Wyrywa mą duszę, hen, w szeroką dal...

Tak biało na świecie, chociaż wieczór trwa.
Zima swą piosenkę wśród nagich drzew gra,
Ja, siedzę wsłuchana w dziwnej pieśni tony,
Które brzmią grobowo, jak żałobne dzwony.

„Stella Maris.“

Raj kobiet

Ubierajmy się w aksamit



J 74 030 Bardzo efektowna sukienka popołudniowa z aksamitu w groszki, przybrana kołnierzykiem i mankietami z białej georgette, oraz dużemi szklanemi guzikami.

J 74 031 Sukienka popołudniowa z aksamitu do prania. Bardzo piękny kołnierzyk z żabotem i falbanki u rękawów z jasnej organdyny.

J 74 040/41 Elegancki komplet z zielonego aksamitu Sukienka ozdobiona blado-różową georgette. Płaszczyk z kołnierzem futrzanym.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w naszej administracji za poprzedniem nadesłaniem 1,90 zł przez PKO. nr. 207.393.

Sylwetka kobiety japońskiej

Pod lśniącą, kunsztowną, czarną jak heban fryzurą, owalna, trochę płaska twarz, upudrowana zupełnie na biało. Wąskie oczy, skromnie w dół patrzące, górnej wargi prawie wcale nie widać, bo ją także pudrem pobielono, tylko dolna odcina się jaskrawą plamą szkarłatu.

Uśmiech — słodycz — nieśmiałość — poddanie się woli pana i władcy — wstydliwość podkreślana wdzięcznym ruchem dłoni, ukrywającej twarz w szerokim rękawie kimona.

To jest — mimo wszystkie feministyczne prądy i zdobycze — sylwetka prawie każdej japońskiej kobiety.

Kobiety, której obowiązkami są: troska o męża, troska o dzieci, troska o porządek w domu, umiejętność grzecznego znalezienia się, znakomite opanowanie ceremonjału podawania herbaty.

Kobiety, która mówiąc do swego sześcioletniego syna, musi użyć formy bardziej wyszukanej, niż, kiedy mówi do swej córeczki. Która biegnie pędem do męża, gdy ten na nią zaklaszcze w dłonie, rzuca się na ziemię, aby mu podnieść chusteczkę, niebacznie opuszczoną. Która posłusznie układa posłanie dla rywalki, przez męża na noc przyprowadzonej do domu.

Podobno ma się to wkrótce zmienić. Już od roku 1919 cywilny kodeks japoński atakowany jest przez zwolenników reformy w tym względzie, a w roku 1931 i 1933 o mało co nawet nie dopuszczono kobiet japońskich do parlamentu.

Ale nie dopuszczono. I — poprawdzie — niebardzo wiadomo, coby one w nim robiły. Przecież tych emancypowanych jest tam może jedna na tysiąc, a może jedna na dziesięć tys.! Nad pozostałemi dotychczas niepodzielnie panuje tradycja wieków, posłuszeństwa, którebyraczej do niewolnictwa przyrównać należało.

Coby zrobiły dziś te kruche istotki pozbawione nagle męskiej przewagi i opieki, których symbolem wyhaftowanym na ślubnem kimonie jest: sosna, bambus i kwiat śliwy — co ma oznaczać: wierność, giętkość (posłuszeństwo) i czystość dziecięcą myśli. Istotki, których rodzice wybierają nietylko wyprawę, ale i męża, a którym wolno odezwać się jedynie na wyraźne ich zapytanie i to z najgłębszym pokłonem, z oczyma skromnie w dół skierowanemi które opuszczając dom rodzinny, aby udać się do mężowskiego, wkładają białe kimono — symbol żałoby, bo oto umarły dla rodziców, a po przybyciu na nowe miejsce — zmieniają je na kimono szkarłatne: symbol narodzin do nowego życia?

Była własnością rodziców, stanie się własnością męża, potem syna. A do siebie samej, czyż nigdy nie będzie należeć?...

A jednak... Jednak dusza tych kobiet, które wydają nam się zdaleka misternemi laleczkami twardsza jest i silniejsza niż dusza wielu z ich wyzwolonych sióstr, w Europie czy w Ameryce. Silniejsza, bardziej zdecydowana. Aż dziw nie pomyśleć, że taka mała, wiotka pani, wstydliwie zakrywająca twarz rąbkami kimona, nie zawaha się, kiedy jej przyjdzie zatopić — wzorem przodków — sztylet we własnej piersi, aby mąż walczący na froncie nie miał poco spieszyć się do domu, aby bez żalu mógł i swoje życie oddać ojczyźnie w ofierze.

Dziwne, bardzo dziwne laleczki o duszach z hartowanej stali. Czy emancypacja białych kobiet naprawdę będzie kiedykolwiek odpowiednia dla was? Czy naprawdę powinniście dążyć w tym samym kierunku, co one?

Kilka aktualnych słów o modzie

Rozbieżność pomiędzy istotnemi potrzebami ubraniowemi, wymaganiami mody a budżetem — nabiera szczególnie na ostrości z początkiem każdego sezonu. Daje się groźnie we znaki jesienią i na wiosnę, gdy „odświeżanie sezonowe" nie da się ograniczyć do sukienki i nowego kapelusza, ale ze względu na radykalną zmianę temperatury, opady itd. trzeba pomyśleć o innem obuwiu, pończochach, bieliźnie i t. d.

Tegoroczna moda jesienna i zimowa nie przyniosła rewolucyjnych zmian — niewiele różni się od mody roku ub. w zasadniczych wytycznych. W dziedzinie kapeluszy panuje filc, aksamit i pilśń. Fasony utrzymuję się w dotychczasowym charakterze: dla filców fasony sportowe, średnich rozmiarów w ciemnych barwach: czarnych, granatowych, brązowych, ciemno-zielonych. Przybrania ze wstążki w tym samym kolorze, czasem fantazje ze skrzydełek, metalowe spięcia. Kapelusze aksamitne mają przeważnie fason beretów w najrozmaitszych odmianach. Fason ten jest tak twarzowy i odmładzający, że zapewne długo jeszcze będzie święcił triumfy. Modą obecnego sezonu i nowością są maleńkie furażerki, robione z materjału płaszczowego, z aksamitu, angory itd. Nowość ta jednak może liczyć na zwolenniczki tylko wśród młodziutkich kobiet, których rysy nie obawiają się całkowitego odsłonięcia twarzy. Kapelusze tak drogie rzeczy, że krajanie ich na fantazyjne jednosezonowe fasony nie opłaciłoby się.

Jeżeli chodzi o suknie z radością witany jest powrót towarów dzianych. Nosić będziemy zatem znowu ciepłe, wygodne i praktyczne „garsonki". Pozatem wiele sweterków, pulowerów, kamizelek w prześlicznych kolorach, w nowem zestawieniu barw i w nowych ściegach ręcznych i maszynowych wyrobów.

Najciekawszym i najbardziej fascynującym przejawem mody jest różnorodność fasonów i ozdób w rękawach sukien. Są one tak różnorodne, tak pomysłowe i fantazyjne, tak bogato zdobione, marszczone, plisowane, aplikowane, kombinowane w kilku kolorach, tak pracowite w wykonaniu — że można powiedzieć, na rękawach skupia się cała uwaga. Drugie stwierdzenie ucieszy panie: wszystkie rękawy są modne; moda obecna nie daje w tym względzie żadnych ograniczeń.

Pomiędzy ozdobami sukien królują kwiaty. Dużo, bardzo dużo pięknych kwiatów ze skóry (do sukien sportowych), z materjału, z lekkich organdi, tiulów, jedwabiu, z srebrzystej i złotej lamy, z brokatu... Kwiaty przy wycięciu dekoltu, przy pasku przy upięciu sukni. Dużo kwiatów.

Modne drobiazgi

Do modnych przybrań zaliczyć trzeba czarne aksamitki. Przyszywa się je przy wycięciu szyi i przewleka przez duże dziury, obdziergane w tym samym kolorze co bluzka. Aksamitkę wiąże się na kokardę.

Do sukien wełnianych czarnych lub granatowych modne będą przypinane plastrony z piki jedwabnej, lekko kremowej. Fason różnorodny: plisowane, jak „rabaty" pastorów, albo wiązane w wielkie kokardy.

DOBRA GOSPODYNI

Zupa cebulowa. Piętnaście cebul średniej wielkości oczyścić i włożyć do rondla, podkładając łyżkę wyborowego masła. Na to nalać rosołu z kur albo cielęciny i gotować pod pokrywą. Gdy cebula będzie miękka, popieprzyć, posolić, włożyć dwie bułki otarte ze skórki i gotować jeszcze pół godziny. Następnie przetrzeć całą masę przez sito, rozprowadzić osobno ugotowanym bulionem, raz jeszcze zagotować i wydać na stół. Do tej zupy podaje się jaja sadzone lub grzanki.

Zupa cebulowa biała. Bierze się jedną wielką cebulę na każdy talerz zupy. Cebulę tę krajemy w cienkie plasterki i przesmażamy na maśle, tak jednak, aby się nie zrumieniła. Do tego dodaje się mąkę w ilości 8 dkg na każdy talerz. Wszystko razem przesmaża się, stale mieszając i bacząc, aby się nie przyrumieniło. Zasmażkę tę rozprowadzamy mlekiem (może być odciągane) i gotujemy około pół godziny. Po tym czasie przecedzić przez gęste sito i wydać z grzankami.

Najciekawe audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 22 grudnia 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.05 Transm. nabożeństwa z Poznania 12.15 Poranek muzyczny ze Lwowa. W przerwie około godz. 13.00 — Fragm. słuchowiskowy „Gospodarz i parobek" — Tołstoja 14.10 Fragment z powieści „Hanka" 14.30 Muzyka lekka 15.00 Godzina rolnika 16.00 „Choinka na przedmieściu" — transm. ze szkoły powsz. 16.20 Zespół salonowy Pawła Rynasa 16,45 Pieśni z Polesia w aud. „Cała Polska śpiewa" 17.00 Muzyka taneczna 17.40 Migawki regjonalne 18.00 Trio fortepianowe — Ravela 18.30 „Ksiądz Piotr" — słuch. w Teatrze Wyobraźni 19.45 „Co czytać" 20.00 Koncert symfoniczny 20.45 Wyjątki z pism J. Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 21.30 „Miasto za siedmiu górami" — feljeton 21.45 Wiadomości sport. 22.00 Koncert pianistów polskich wyeliminowanych na konkurs chopinowski 23.05 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 23 grudnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Muzyka salonowa 13.25 Chwilka gosp. domowego 15.30 Muzyka salonowa 16.00 Lekcja języka niem. 16.15 Orkiestra prac. tramwajów i autobusów miejskich 16.45 „Ach ludzie, ludzie" — skecz 17.00 „Czy kobieta jest stinksem" — pog. 17.15 Wiersze Kazimierza Wietrzyńskiego 17.20 Recital śpiewaczy Luby Lewickiej 17.50 „Żyjące spadochrony" — pogadanka 18.00 Obrazek symfoniczny — Rugby — Honeggera 18.10 Gwiazdka w radjo 18.55 Skrzynka rolnicza 19.40 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Muzyka lekka 20.30 Krótki konc. solistów 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Recital Jerzego Czaplickiego 21.30 Wieczór lit. poświęcony twórczości Piotra Choynowskiego 22.00 Koncert symfoniczny pod dyr. F. Nowowiejskiego, T. Lifan (wiolończ)

Wtorek, dnia 24 grudnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Nie przeszkadzać mamusi" — pog. dla dzieci 12.30 Muzyka 13.25 Dzień wigilijny — pogadanka 15.00 Zespół Tad. Seredyńskiego 16.00 Słuchowisko dla młodzieży szkolnej 16.15 Cała Polska śpiewa 16.30 „Pastorałki" — organy solo — F. Nowowiejski 17.00 „Wigilja Legjonisty Potyrały" 17.20 „Najpiękniejszy wieczór" — słuch. dla dzieci 17.50 „Kolendy kompoz. poznańskich" 18.20 „Wigilja na Sowincu" 18.50 „Wieczór wigilijny" 19.40 Koncert małej ork. P. R. 20.25 Recital Jerzego Sulikowskiego 21.00 „Pójdźmy do Betleem" — kolendy 21.40 Audycja wigilijna dla Polaków na obczyźnie 22.15 Przy pracy w noc wigilijną 22.30 „Święta w muzykalnej rodzinie" 23.00 Muzyka salonowa 24.00 Pasterka z Kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Środa, dnia 25 grudnia 1935 r.

9.00 Kolendy ze wszystkich rozgłośni polskich 10.00 Transmisja uroczyst. nabożeństwa z Poznania 12.03 „Tysiąc taktów muzyki" 13.00 „Wigilja wojewody" — słuchowisko 13.35 Koncert Chóru Dana 14.15 Muzyka lekka 15.00 „Na wsi za sto lat" — wesołe słuchowisko wiejskie 16.00 „Godzina życzeń dla dzieci" 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Historja pierwszej choinki — słuchowisko dla dzieci 18.30 Kolendy całego świata 20.00 Audycja żołnierska 20.30 Recital Ady Sari 21.00 Twórczość Fryderyka Chopina — 1/ audycja 21.35 „Gwiazdy nad Saharą" — felieton 21.50 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 26 grudnia 1935 r.

0.05 Muzyka 10.00 „Gwiazdka na Kaszubach" — koncert 10.30 Transmisja nabożeństwa 12.15 Koncert solistów: A. Michałowski (bas), W. Niemczyk (skrzypce) 13.00 Fragment słuchowiskowy — „Cyd" Corneillea 13,20 Melodje i tańce polskie 14.00 „Na szosiem..." — opowiadanie 14.20 Muzyka lekka 15.00 „Drewniaczki — Chodaczki w Betleemskiej Stajence" — słuchowisko dla dzieci 15.30 Migawki regjonalne — zbiorowa aud. rozgłośni P. R. 16.30 Koncert Tria Salonowego 16.55 „Poezja Bożego Narodzenia — kwadrans poetycki 17.10 „Moja pieszczotka" — wesoła aud. słowno-muzyczna 17.55 Muzyka taneczna 19.10 Dzieci całej Polski śpiewają kolendy 20.00 „Niewydane utwory Al. Michałowskiego" — recital Feinsteinówny 20.20 „Imieniny Szczepanka" 20.50 Wieczorny dziennik 21.00 „Biały mazur" — operetka Lehara 22.15 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 27 grudnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Muzyka 13.25 Chwilka gosp. domowego 13.30 Z rynku pracy 15.30 „Śmiejące się fortepjany" — koncert 16.00 Pogadanka dla chorych 16.15 Koncert Zespołu Seredyńskiego 16.45 „Chwilka pytań" — dla dzieci 17.00 Jak pracuje antropolog — reportaż 17.15 Minuta poezji 17.20 Koncert kameralny 17.50 Poradnik sportowy 18.00 „Apel 27 Grudnia" — aud. muzyczno-słowna 18.30 Pogadanka aktualna 18.55 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami P. R. 20.00 „Wróżby i pasjanse" — monolog aktualny 20.10 Melodje z operetek Abrahama 21.00 Dziennik wieczorny 21.10 Obrazki z Polski współczesnej 21.15 Koncert muzyki francuskiej 22.00 Kolendy w języku esperackim 22.20 „Czy nie za wesoło?" — koncert małej orkiestry P. R. 22.50 Muzyka taneczna z kawiarni Cafe Club.

Sobota, dnia 28 grudnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Muzyka lekka 13.25 Chwilka gosp. domowego 14.30 Koncert Kwintetu Haliny Adamskiej-Grossmanowej 15.00 „Dziu-dziu" — humoreska 15,30 Muzyka 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.30 Skrzynka techniczna 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 „W krainie marmurów" — odczyt 17.15 Nowości z płyt 17.45 Pogadanka o orle 17.50 „Pułtusk" — pogadanka 18.00 „Świat za drzwiami" 18.30 Przegląd wydawnictw 18.40 Pogadanka społeczna 18.55 „Ziemsta" — felieton prawno-społeczny 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 „Lwowskie potpourri" — koncert 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 „Rodakom na obczyźnie" aud. ze wszystkich rozgłośni P. R. 21.45 „Uśmiech Poznania" — humor regjonalny 22.15 Koncert z udziałem Stanisława Fryderga 23.03 Muzyka taneczna.

Tadeusz Rawicki.

W noc wigilijną

(nowela)

Mały, biurkowy zegar wskazywał wyraźnie godzinę szóstą. Stalowe wskazówki poruszają się na nim prawie niedoszczegalnie, a jednak zawsze są w ruchu pełne życia i... ida, wiecznie. Niema siły, któraby zahamowała bieg czasu. Istnieje tylko pozorne i złudne zagłuszanie zbyt szybko biegnących chwil przez ważne zajęcie, tempo lub wreszcie — cichą zadumę.

To też podporucznik Stanisław Szempoński zdziwił się bardzo, że zużył prawie godzinę czasu na przygotowania do wyjazdu. Zresztą niewiele się tem zmartwił gdyż pociąg odchodzi dopiero za dwie godziny, a przestrzeń do stacji kolejowej przebędzie w przeciągu sześćdziesieciu minut. Wypoczete konie pobiegną jak strzała po białej powłoce śniegu unosząc za sobą lekkie sanki.

Szempońskiemu zdawało się już nawet, że słyszy świst wichru z delikatnym akompanjamentem dzwonków, że czuje na twarzy bryzgi śniegu, wyrzucane spod końskich kopyt i widzi czarną noc, wiszącą nad światem.

— Brrr! Szalona jazda i można kark skręcić przy lada nieuwadze, ale zawsze... emocja a wraz z nią myśl i nadzieja, że za kilkanaście godzin będę już daleko w głębi kraju, u swoich, tuląc w ramionach jedyną moją - Dobrosławę — mruczał porucznik do siebie, wdziewając płaszcz

Potem jeszcze raz rozejrzał się po skromnym pokoju, jakgdyby żegnał każdą ścianę z osobna, każdą szybę naszkicowaną szronem i każdy mebel. Dłużej zatrzymał wzrok na lśniącej tarczy zegara, którego biegnących wskazówek nie zdoła zatrzymać nikt, nawet — Herkules!

A tuż na skraju biurka stał telefon obandażowany drutami przewodów, stał zadumany i milczący. Porucznik przesłał mu tylko skąpe spojrzenie... Telefon obraził się widocznie lekceważeniem go, bo oto obudził się nagle i... zaterkotał.

— „Tam do djabła — zaklął oficer i przykładając do ucha słuchawkę, rzucił w tubę: — Hallo! Tu dowódca wzmocnionej strażnicy Kaczyńce... Tak!... Czyli mam zrezygnować z urlopu... Tak jest panie majorze!"

Szempoński zawiesił słuchawkę i opadł ciężko na taboret. Upragniony wyjazd, stał się w jednej chwili nieaktualny, a wizja tęsknych spojrzeń Dobrosławy, uśmiech jej drobkich, namiętnych usteczek i to wszystko co jeszcze nie zdołał sobie wyobrazić zniknęło nagle w mroku zimowej nocy, jak — widmo.

I wszystkiemu winien ten przeklęty telefon! Gdyby nie on ino gdyby zadzwonił choć chwilę później... A tak — wszystko przepadło!

Tymczasem sprawca całego nieszczęścia stał spokojnie na biurku zadumany, nieczuły i milczący, jak zwykle. Tylko mały zegar przyjmiał się do niego swojem rytmicznem tyk — tak! tyk! — tak!

Bezustannie sypał śnieg, otulając białym całunem niewielki budynek stacyjki kolejowej. Za chwilę nadejdzie pociąg z Warszawy. Dobrosława w nowiutenkiem futerku na sobie, przechadza się wzdłuż lśniących szyn. Nagle do uszu jej dobiega odgłos pędzącego pociągu i z upiorze ciemności wyglądają ogniste ślepia lokomotywy.

Po chwili pociąg z hukiem i sykiem zajechał na oświetlona połać stacyjki, jęcząc zgrzytem hamulców. Jednocześnie z przedziału drugiej klasy wyskoczył elegancki porucznik ułanów i w mdłem świetle naftowych latarni zabłysły srebrne guziki i gwiazdki jego umundurowania.

Dobrosława z twarzą rozpromienioną podbiegła do przybyłego... Staśku! — „Jakże się cieszę, że przyjechałeś — wyszczebiotała miłym głosikiem. — Ale co to? Dwie gwiazdki? Czy otrzymałeś nominację? Staśku! Winszuję!..."

Nagle zamilkła i cofnęła się o krok zawstydzona. To nie był jej Stasiek! Przed nią stał jakiś obcy, aczkolwiek bardzo przystojny oficer. Zasalutował, pytając uprzejmie: — „Czy mam przyjemność rozmawiać z panią Dobrosławą Sokolską z Sokołowa?"

Dziewczyna zawstydziła się jeszcze bardziej i zdumiała zarazem, niemniej odpowiedziała grzecznie: —

— „Proszę bardzo, jestem osobą o którą pan pyta!"

Porucznik przedstawił się:

— „Tadeusz Dobrzański — przyjaciel ojca szanownej pani".

Potem czule uścisnął podaną delikatną rączkę. Nim skierowali się ku wyjściu, Dobrosława dyskretnie zlustrowała wzrokiem peron. Nie uszło to uwadze młodego porucznika.

— „Przepraszam najmocniej, czy pani oczekuje przybycia kogoś" — spytał ciekawie, patrząc z podziwem w jej ładną twarzyczkę?

— „Tak, miał przyjechać mój narzeczony z K. O. P.-u; pisał, że może przyjedzie — odpowiedziała głosem, w którym drgał nieledwie płacz.

Nic nie zdołało rozjaśnić smutnego oblicza Dobrosławy, ani ukoić tęsknoty jej serca. Nawet obecność porucznika Dobrzańskiego, czar i uroda jego postaci, czułe słówka były tylko czemś, co raczej drażni zamiast przynosi ukojenie.

Dopiero piękna, tradycyjna chwila dzielenia się opłatkiem, przemówiła do zbolałego serca Dobrosławy. Zdawało się, że zapomniała nagle o wszystkiem co jej ciężyło na sercu, gdyż stała się więcej rozmowna i nawet wesoła, zupełnie jakby przy stole wigilijnym siedział ukochany Stasiek.

W pogodnym nastroju dojedzono potrawę. poczem Dobrzański donośnym, żołnierskim głosem zaintonował: „Bóg się rodzi"... Dobrosława zawtórowała również swoim dźwięcznym głosikiem i popłynęły słowa radosnej kolendy przy wesołem migotaniu świeczek, iskrzących się na wspaniałej choince.

Przebrzmiała pieśń i do serc wszystkich wlał się kryształowy strumień radości szczerej, jak połysk złota.

W pewnej chwili Dobrosława podeszła do okna. Za nią jak cień zjawił się Dobrzański, dzwoniąc ostrogami. —

„Czy pani dostrzegła tam za oknem coś ciekawego" — zapytał?

Spojrzała na niego pełna tęsknoty i odrzekła: —

„Niestety, widzę tylko czarną noc i ośnieżone sylwetki drzew, stojące najbliżej, w parku".

— I ja również nie widzę nic więcej, prócz tego co pani — potwierdził porucznik, zbliżając twarz do zimnej szyby.

Gdyby jednak w tej chwili ich wzrok jakimś cudem zdołał przebić ciemności i zawczyć przestrzeń, ujrzeliby het na wschodniej granicy Rzeczypospolitej zbrojne postacie, przytulone do pni drzew, ośnieżone, skostniałe z zimna, zamarłe w oczekiwaniu....

A jedną z tych tajemniczych, rycerskich postaci, którym los nie zgotował wigilijnej wieczerzy, był ten, który sercem należał do Dobrosławy. Koniec.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 67)

"Kazimierzu, zostań! Wyznam ci wszystko! — Och, Boże, on odszedł, za późno, za późno! Osądziłeś mię niesłusznie! Kazimierzu, powróć, — tylko raz, na minutę, — na jedno mgnienie oka! Kazimierzu Kazimierzu!"

Anielcia rzuciła się jak szalona na uszkodzone drzwi, — ciemne włosy rozwiały się bezładnie, — jej twarz okryła się trupią bladością, tylko czerwone wargi drżały kurczowo, jakby zbiegła się w nich krew z całego ciała, a niebieskawe delikatne żyłki na jej skroniach biły przyśpieszonem tętnem. —

Gwałtownym ruchem otwarła uszkodzone drzwi. Pobiegła ku schodom, lecz nie widziała nikogo! Wołała jego nazwisko, niestety napróżno.

Odszedł, — przekonany o jej winie! Opuścił ją i nie zostawił jej nic, prócz tej jedynej myśli, że go straciła nazawsze.

Anielcia jak oszołomiona powróciła do pokoju. — Nagle wydała przeraźliwy okrzyk; przed nią stała ta, która się stała przyczyną jej nieszczęścia.

Widziała przed sobą piękną Lolę, występną kobietę, której poświęciła swoją cześć i miłość.

Anielcia nie mogła w tej chwili zapanować nad sobą.

Zniosła nieludzką rzecz, — ale teraz, skończyła się cierpliwość i wytrzymałość.

„Precz litości — zgubiłaś mię zupełnie! Uczuciowe serce wtrąciłoś mię w otchłań bólu! Dlaczego nie usłuchałam głosu rozsądku! Dlaczego ulegałam podszeptom mojej duszy, która powinna znajdować się w piersi anioła, a nie zwykłej kobiety!" —

„Słuchaj, Anielciu!" przemówiła Lola cichym głosem, „muszę rozmówić się z tobą!"

„Ma mi pani coś do powiedzenia?" odparła głucho Anielcia. „Ha, ha, to wyśmienite. Czego pani żąda? Mam zrobić znowu ze siebie ofiarę? Może pożąda pani mego serca? Więc wyrwij je z mojej piersi! Nie potrzebuję duszy ani krwi, ni życia! To, co miało jakąś wartość dla mnie na tym świecie, poświęciłam pani! O, pani mogłaś słuchać jak mię obwiniał, — i ani jednem słowem nie udowodniłaś mojej niewinności? Stałaś tuż przy drzwiach, — patrzyłaś na to straszne stracenie, — widziałaś pani, jak serce krajało się w kawałki ,— i mimo to nie miałaś odwagi, wystąpić i oskarżyć się?"

Lola schyliła głowę. Stała przed Anielcią, jak winna. Nieszczęśliwa hrabina ubrana w szeleszczący jedwab, stała w tej chwili przed Anielcią jako — zwyciężona!

„Stało się!" mówiła dalej Anielcia złamanym głosem, „i nigdy, nigdy nie będzie można naprawić tego. Kazimierz nie uwierzy mi więcej. Cała wieczność nie wróci mi tego, co straciłam w jednej minucie! Ach, i cóż mi pozostaje innego, jak nie śmierć?"

Anielcia złamana i wyczerpana osunęła się na krzesło. Nawet Lola nie mogła się powstrzymać od pewnej litości. Ze łzami w oczach pochyliła się nad Anielcią.

„Tak, postąpiłaś", przemówiła cichym drżącym głosem, „jak rzadko kto na świecie. Jeżeli rzeczywiście w tej chwili złamałaś sobie pani życie i całe szczęście, — to bądź pani przekonaną przynajmniej że postąpiłaś szlachetnie, — odnosząc tryumf, jakim niewielu mogłoby się poszczycić".

„O, ten podły tryumf"! odparła Anielcia wybuchając gwałtownym płaczem. „To zwycięstwo nie wynagrodzi mi straconej miłości i jego pocałunków, które już nigdy nie rozpłomienią moich warg. Nic nie zdoła przywrócić mi jego poważania. — O pani, ten tryumf stanie się przyczyną mojej śmierci, gdyż mosty prowadzące do szczęścia zostały zniszczone!"

„Piękne, drogie dziecię, postaram się o odpowiednie wynagrodzenie", szepnęła Lola. „Tak, Anielciu, moja wdzięczność będzie ci towarzyszyć całe życie. Nie mogę wprawdzie zwrócić twojej zguby, lecz przynajmniej ochronię cię od codziennych kłopotów. Otrzymasz wszystko, co tylko zażądasz. Wyjaw mi twoje życzenia, a spełnię je natychmiast! Chcesz, to ci dam moje wszystkie kosztowności!"

„Kosztowności? — Haha, — pani, tem nie wynagrodzisz mi straconego serca!"

„Czas leczy wszelkie rany" mówiła dalej Lola, próbując ująć rękę młodej dziewczyny ,którą jednak Anielcia ukryła szybkim ruchem na łonie.

„Tak, w przyszłości rozważysz spokojniej zajścia dzisiejszego dnia, tęsknota opuści może wtedy twoje serce i połączysz się z mężczyzną, który zastąpi ci miejsce tego, którego kochałaś niegdyś! Dziewczę, — mam cię zapoznać z miłym człowiekiem, który da ci ciche. domowe szczęście?"

„Ja — miałabym należeć do innego? O pani, nie znasz Kazimierza, sądząc że po nim można zakochać się w innym mężczyźnie!"

Lola spuściła oczy. Rumieniec wstydu oblał jej policzki.

„Więc!" zawołała, „mów, czego żądasz! Nie chcę pozostać twoją dłużniczką!"

„Nic nie żądam!" wyszeptały białe wargi biednej dziewczyny. „Lecz nie, — pani, ja mam jedną prośbę, którą musisz mi spełnić!"

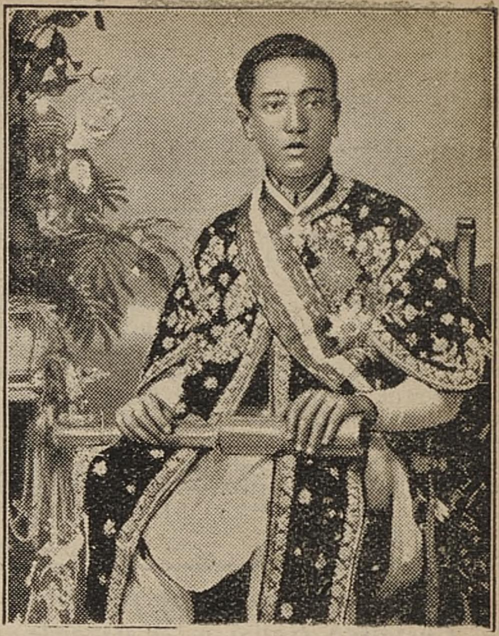
„Mów więc! Daje ci moje słowo, że postaram się uczynić zadość twojemu żądaniu!"

„Więc pani", odparła Anielcia, prostując się i kierując przenikliwy wzrok na Lolę, „mojem życzeniem jest, byś dała Kazimierzowi zupełne szczęście!"

Lola wzdrygnęła się.

Tego więc życzyła sobie ta nieszczęśliwa dziewczyna, która przed chwilą poświęciła własne szczęście! Kazimierz przy jej boku powinien być szczęśliwy!

Co za szlachetność i wspaniałomyślność.



Były cesarz Abisynji, Lidsch Jassu, który przed 18-tu laty. został zdetronizowany przez dzisiejszego Negusa i uwięziony — umarł w tych dniach, jak dochodzą wiadomości z Abisynji.

„Tak, daj mu pani szczęście!" mówiła dalej Anielcia skrzyżowawszy ręce na swej dziewiczej piersi i spoglądając błagalnie na Lolę. „To jest moje ostatnie życzenie, moja ostatnia prośba. A to dziecię, którem go obdarzysz, wychowaj pani na obopólną pociechę! Bądź dlań troskliwą matką, na którą będzie zawsze spoglądać ze czcią i poważaniem — Wejdź pani na drogę cnoty, i odrzuć daleko od siebie wszystko, co graniczy z fałszem i obłudą! Wtedy postaram się zapomnieć o dniu dzisiejszym!"

Zimny dreszcz przebiegł ciało Loli! Jedwabne suknie zaszeleściły, — piękna kobieta osunęła się powoli do nóg młodej dziewczyny.

„Anielciu, zwyciężyłaś!" zawołała Lola, wybuchając płaczem, „teraz jestem zmuszona cię kochać, — teraz nie zdołam nigdy cię zapomnieć! — Tak, jesteś godniejszą posiadać go, — i gdyby rządziło prawo, to byłabyś przy jego boku, zamiast mnie, — a ja musiałabym odejść w ciemną dal, która stoi obecnie przed tobą".

„Powstań pani", zawołała Anielcia, „chcesz pani mi w ten sposób dziękować? — To co uczyniłam, nie może być zapłacone wdzięcznością, — to jest niespłacone jak ludzkie życie. — Odejdź pani i powróć szybko do domu, by w duszy Kazimierza nie powstało żadne podejrzenie. Odejdź pani bez obawy z tego domu, — Alfred Robber nie uczyni ci nic złego, — uciekł z pewnością przez okno sąsiedniego pokoju".

„Nie odejdę stąd, dopóki nie podasz mi pani twojej ręki", zawołała Lola; „muszę wiedzieć, że mną nie gardzisz, żeś mi przebaczyła mój postępek. Słuchaj pani: W tej godzinie musi mi być wszystko, wszystko darowane".

Anielcia nie przeczuwała nawet, ile miała do przebaczenia, gdyż nieszczęśliwe dziewczę nie wiedziało o tem olbrzymiem przestępstwie, którego dopuściła się na niej piękna, fałszywa kobieta — o tej kradzieży jej nazwiska, stanowiska i ojcowskiego serca.

„Dlaczego mam podać pani moją rękę? odparła Anielcia, „przecież nie mogę zostać przyjaciółką pani! — Nie, to jest niemożliwe. To, co uczyniłam, stało się, — i nie wróci, bez względu na to, czybym żałowała, czy nie. Między nami jednak nie ma nic wspólnego. Walczyłyśmy o serce mężczyzny, — a dwie kobiety, które w takiej walce stały naprzeciwko siebie, pozostaną aż do grobu wrogo usposobione względem siebie. Lecz nie obawiaj się pani", dodała Anielcia, widząc jak Lola zadrżała przy tych słowach, „z mojej strony nie grozi pani żadne niebezpieczeństwo. Tajemnicę tej godziny zachowam głęboko w sercu i drogi nasze nie zejdą się więcej. Rozkazał mi odejść, dokąd mię tylko nogi zaniosą. Dobrze, spełnię jego życzenie! Nigdy nie zobaczy mię więcej, — żadna wiadomość o mnie nie wpadnie w jego ręce.

„Resztę mojego życia przepędzę gdzieś w odległym zakątku świata, nieznana nikomu. Pani jednak używaj dalej szczęścia i życia przy jego boku. Biedna Anielcia nie zaćmi waszego słońca. Nie obawiaj się mnie pani! Na wasze szczęście nie spadnie ani cień mojej miłości".

Obie kobiety zapłakały. Anielcia pochyliła się nad klęczącą i zanim mogła przeszkodzić, Lola ujęła jej rękę i przycisnęła do swych ust.

„Dlaczego nie jestem taką, jak ty", zawołała walcząc z płaczem, „dlaczego nie jestem tak szlachetną, wspaniałomyślną i samoistną? Dlaczego nie mogę czynić takich ofiar? Mam zawsze tylko żądać? — Więc gardzisz moją wdzięcznością, dlatego klęcząc mogłam dać ci w tej chwili tylko ten pocałunek, którym upokorzyłam się przed tobą. — Anielciu żegnaj, bądź szczęśliwą, jeżeli potrafisz!"

Lola domawiając te słowa podniosła się i przeszła obok Anielci, zwiesiwszy głowę na piersi. W życiu najgorszego człowieka są przecież chwile, kiedy widzi własny obraz z piętnem hańby, którą się własnoręcznie naznaczył.

W minutę później Anielcia była samą. Lola przeszedłszy przez korytarz, zbiegła szybko po schodach. Pragnęła jak najprędzej znaleźć się na polu, by zaczerpnąć świeżego powietrza, wśród ludzi i wielkomiejskiego zgiełku.

Przez sekundę wahała się, czy ma przyjąć ofiarę Anielci, czy rzucić się do nóg Kazimierza i wyznać mu wszystko. Lecz teraz pod wpływem świeżego wieczornego powietrza, muskającego jej rozpalone czoło, wobec tych setek świateł zapalających się na ulicach Paryża, gdzie tysiące ludzi przechodziło obok niej, z których wielu nie było lepszymi od niej, — jej martwy egoizm, stanowiący główny rys charakteru Loli, wziął górę.

Ogarnęło ją uczucie tryumfu, oszałamiającej uciechy, — niebezpieczna współzawodniczka została usunięta, — ta dziewczyna ciążącą, jak ciemna chmura nad jej miłością i małżeństwem, — nie stanie więcej na jej drodze. Uwolni się także od Alfreda Robbera; — prawdopodobnie uciekł, przekonawszy się, że został odkryty. Nie będzie miał odwagi zbliżyć się do Loli.



Niecodzienny obrazek, przedstawiający nam króla szwedzkiego Gustawa, przy śniadaniu w kółku rodzinnem.

Ha, ha, udało się wszystko znakomicie, — wygrała wielką bitwę.

Dlaczego miała więc być smutną, — lub dać się powodować delikatnym uczuciom? — Z Anielcią niech się stanie, co chce, — Lola jest tem, czem była: żoną Kazimierza i wielką panią.

Wkrótce zostanie matką dziecięcia, które zacieśni ich serca. Przyszłość leżała przed nią jak tafla spokojnego jeziora, niezmarszczona żadnym podmuchem wiatru.

Lola rozparta we fiakrze zdążającym do jej pałacu przy Champs Elysees, spoglądała na oświecone bulwary, przez które przelewało się wielkomiejskie życie ze swoim blaskiem, radością, szumem i namiętnością. Dreszcz przebiegł jej ciało a wargi szeptały:

„Dzięki Bogu, — zostałam hrabiną Zamską! — O, nie chcę mieniać się z tą dziewczyną, która bez środków utrzymania musi iść w świat daleki. — Nie mogłabym wytrzymać takiego losu; — nie dlatego urodziłam się, by zostać ubogą."

— — — — — —

Anielcia zdążała rzeczywiście w ciemną przyszłość. Nagle straciła wszystko. Ziemia usuwała się jej z pod nóg, — nie powinna zostać dłużej w Paryżu. Lecz nawet gdyby Kazimierz ją nie był prosił, by odeszła stąd daleko, to sama nie zniosłaby tej myśli, że ma żyć z nim w jednem mieście.

Do tej chwili miała ciągle nadzieję: kiedyś będzie lepiej, jeszcze wrócą te szczęśliwe czasy, gdy posiadała miłość Kazimierza. Teraz jednak zostało wszystko na zawsze stracone!

Więc we świat! Niech odgrodzi ją od niego sine morze.

Jego słowa muszą się spełnić. Nie będzie czekać na powrót swojej pani, madame Gautier. Musiałaby jej dać obszerne wyjaśnienia, które sprawiłyby jej tylko nowe bóle. Wróżbiarka nie zdoła odczuć tej rozpaczy a może i nie chciałaby wierzyć, że Anielcia zrobiła taką ofiarę. A co gorsza, — może zdradziłaby ją i wyjawiła Kazimierzowi całą prawdę.

Anielcia była przekonana, że nie powinna czekać na powrót pani Gautier. Opanowała swój ból, gdyż praktyczne życie wymagało całej uwagi.

Drżącą ręką pozbierała swoje skromne rzeczy. Do ręcznego kuferka zapakowała bieliznę i suknie, poczem sposobiła się do wyjścia. Na kartce papieru napisała parę słów, donosząc dotychczasowej pani, że jest zmuszoną opuścić Paryż. Anielcia pisała ze stanowczością; nie było jej wcale przykro, że w ten sposób rozłącza się z Gautier, gdyż już oddawna robiła sobie wyrzuty, że związała swe losy z życiem tej kobiety.

Osłupiałym wzrokiem patrzyła na to miejsce, na którem rozegrała się walka rozstrzygająca o jej życiu. Tam stał on — tutaj ona. Tam na dywanie leżała i myślała, że jej pęknie serce, słysząc jego pożegnalne słowa. — — Wszystko przeszło! — Życie to gra cieniów, które się ciągle zmieniają!

Anielcia patrząc na dywan, zauważyła mały, ciemny przedmiot. Schyliła się i podniosła. Był to pugilares Kazimierza; otworzyła go i we wnętrzu zobaczyła stos banknotów.

Czuła wstręt przed tymi pieniędzmi. Weźmie tylko tyle, ile jest potrzebne na przejazd do Ameryki. Resztę odeśle później Kazimierzowi z drugiej półkuli świata.

Ta posyłka dowiedzie mu, że spełniła jego życzenie, i że drogi ich nie zejdą się więcej.

Pugilares zawierał 11.000 franków, mały majątek, który uchroni Anielcię w najbliższych latach od wszelkich trosk materjalnych. Szlachetna dziewczyna nie myślała jednak wcale o tem. Będzie pracować, — by zarobić tylko

na codzienny chleb, co jej się z pewnością powiedzie tam w tem nowym świecie.

Anielcia wyjęła kilka banknotów na pierwsze wydatki, włożyła je do swojej portmonetki, a resztę ukryła na piersi, w tem mniemaniu, że tam będą najlepiej ukryte pieniądze.

Dziwne, — wiedziała, że nie łączyło jej nic więcej z Kazimierzem, — a mimo to sprawiało jej przyjemność, że miała coś, co należało do niego, co było codziennie w jego rękach. Na piersi koło serca czuła portfel Kazimierza.

Zbiegła po schodach, bojąc się by nie spotkała portjera, któryby się zdziwił, że wychodzi z hotelu z kuferkiem.

Szczęśliwym trafem nie było nikogo w loży, — i tak Anielcia dostała się na ulicę bez przeszkody.

Biegła z całych sił aż do bulwaru. Tutaj zawołała dorożkę i kazała wieźć się na dworzec, skąd odchodzą pociągi do Hawru. Przybywszy na stację, dowiedziała się, że najbliższy pociąg odchodzi za pół godziny. Usiadła w poczekalni; czas upływał jej powoli.

Żadne pióro nie zdołałoby opisać tych myśli i wrażeń, które w tej półgodzinie szarpały duszą biednej, opuszczonej przez wszystkich, dziewczyny!

Ten tylko zrozumie boleść Anielci, kto już raz stał nad grobem swego szczęścia i żegnał się z najmilszą myślą, — z największem pragnieniem nurtującem w jego sercu. Drzwi poczekalni otwarto. — pociąg stał na peronie. — Anielcia kupiwszy bilet drugiej klasy, wsiadła do przedziału.

Pozdrowiła towarzyszów podróży i usiadła w kącie przy oknie. Pociąg wyjechał z hali, a wieże Paryża ostatni raz pozdrowiły samotną, nieszczęśliwą dziewczynę. Pociąg biegł coraz prędzej, a z każdą minutą zwiększała się przestrzeń dzieląca ją od najukochańszej osoby na świecie.

Anielcia patrzyła ciągle, dopóki widziała jeszcze domy, wieże, lub drzewa należące do Paryża. Po chwili upadła na poduszki, — nie mogła opanować strasznej boleści, — przyłożyła chusteczkę do óczu i wybuchnęła płaczem.

Turkot kół, — drżenie żelaza, — sapanie lokomotywy, — wszystkie te tony wdzierały się do jej serca, — jako muzyka ilustrująca bezbrzeżną nędzę.

CI.

Dziewczyna z pokładu

„Gloire de France", jeden z najpiękniejszych parowców francuskiego towarzystwa „Transatlantic", opuścił kanał i wypłynął na fale Atlantyckiego oceanu. Wybrzeża Anglii ginęły w niepewnem świetle przedświtu. Morze było ciche i spokojne, promienie słońca ślizgały się wdzięcznie po olbrzymiej tafli wody. Biała piana fal igrała dokoła olbrzymiego ciała okrętu, jakby ocean był dumny z tego, że na swym grzbiecie niesie taki okręt.

„Gloire de France" był okrętem wychodźców i brał zwykle tylko takich ludzi, którzy byli zmuszeni opuścić swoją ojczyznę, by w nowym świecie, krainie wszechmocnego dolara, stworzyć sobie nowe życie, lepszą przyszłość.

Ile nadziei, tęsknoty i żałości niesie taki okręt!

Nie każdemu przychodzi łatwo opuścić ojczyznę. Uczucie, które łączy ludzi z ojczystą ziemią, istnieje nawet w duszy tego, który zwykle nic sobie nie robi z najważniejszych zdarzeń w życiu. Jednak podróż do Ameryki, stanowiąca przejście do stałego pobytu, jest czynnikiem, który daje się silnie odczuć każdemu.

Wszyscy stali na pokładzie okrętu. Bogaci pasażerowie, jadący pierwszą klasą, znajdowali się na elegancko urządzonym pokładzie, przeznaczonym do przechadzek. Lekkie płótno rozpięte w górze chroniło ich od promieni słonecznych. Mniej bogaci, jadący drugą klasą, zajmowali tylną część pokładu. Biedni i pozbawieni odpowiednich środków mieścili się przez cały czas podróży na międzypokładzie. Jedno piętro niżej istniała wąska przestrzeń, która pozwalała im na pobyt pod gołem niebem.

W tej chwili jednak zdawały się nie istnieć żadne różnice stanu.

W dali ginie angielskie wybrzeże, — na tle stałego lądu odbijają się jak pasmo mgły, małe wyspy Seschellen. To ostatni punkt Europy, na który kierują się oczy wychodźców. — W jego stronę lecą ostatnie pozdrowienia, — ostatnie łzy.

Później widzą wychodźcy tylko niebo i wodę.

Parowiec pruje fale z szaloną szybkością, ponieważ obecnie nie potrzebuje się obawiać nadmorskich skał.

Między pasażerami „Gloire de France" była Anielcia, — wzięła kajutę drugiej klasy; dotychczas jednak nie obejrzała dokładnie tego pokoiku, który miał jej służyć przez cały czas podróży. Złożywszy tam tylko swoje rzeczy, wybiegła na pokład, by spoglądać na ojczyste wybrzeża, dopóki nie znikną z oczu. Później została również na pokładzie, gdyż świeże powietrze chłodziło i uspakajało jej rozigrane nerwy.

W chwili, gdy straciła z oczu europejskie wybrzeże, ogarnęła ją znowu bezbrzeżna boleść. Niepokoiło ją uczucie przed tym wielkim, nieznanym krajem. Nawet serce mężczyzny drży na myśl o Ameryce, o tem olbrzymiem państwie, złożonem z wielu ludów o różnorodnych językach. Tam na zachodzie występuje wyraźniej walka o życie, aniżeli w starej Europie, gdzie wszystko jest uregulowane prawami.

Cóż tam będzie robić ona, słaba kobieta? Któż będzie ją bronić w tym nowym kraju przed ludzką złością, która ją ścigała ciągle w ojczyźnie!

Czy znajdzie wkrótce zajęcie, — i zdoła zastosować się do nowych stosunków? — Anielci zdawało się, że życie postawiło ją przed nierozwiązalną zagadką.

Każda odważna natura hartuje się jednak na widok piętrzących się przeszkód. Ta myśl, że będzie musiała walczyć, podobała się Anielci; przynajmniej zapomni prędzej o swoich strapieniach.

„Tak, to boli", przemówił obok niej jakiś ostry, obcy głos, „że ten skrawek kraju, na który się patrzało przed chwilą, biorą nagle djabli. Odwagi, panienko, — ocean nie taki zły, — jak wygląda. Można się mu zupełnie spokojnie zawierzyć, gdyż otchłań, ponad którą jedziemy, nie jest tak zgubną, jak pierś ludzka, gdy w niej zamieszkają złe duchy."

Anielcia podniosła głowę, — głos brzmiał wprawdzie ostro, a jednak płynęły z niego serdeczne, ujmujące tony.

Ten głos przypominał Anielci polską ojczyznę, mimo, że mężczyzna mówiący do niej, posługiwał się francuskim językiem.



Ileż to było przygotowań na święta!.. Nawet pieczenie ciast wypadło uroczyściej niż zwykle, bo w towarzystwie nietylko rodziny, ale krewnych i znajomych, jak to widzimy na zdjęciu.

Anielcia, na widok tej barczystej postaci, tej lekko ogorzałej twarzy, z której spoglądała para niebieskich wiernych oczu, pasujących świetnie do srebrzystych włosów, pomyślała: to jest Polak, — tak patrzy tylko Polak.

Więc rodak! — Ach, co za szczęście, takie spotkanie na francuskim okręcie. Nie wyglądał na pasażera, gdyż ciemno-niebieskie ubranie ozdobione złotymi guzikami, na których widniał znak towarzystwa żeglugi „Transatlantic“, było aż nadto wymownym dowodem, że ma do czynienia z mężczyzną, należącym do załogi okrętowej.

„Przemówiłeś pan właśnie po francusku“, odparła Anielcia, czując pewien pociąg do nieznajomego, „jednak założyłabym się, że to wszystko, coś mi pan powiedział, mogłeś wyrazić lepiej i ładniej w polskim języku!“

„A bodaj mię połknęło siedem rekinów!“ zawołał nagle mężczyzna poprawną polszczyzną. „Pani jesteś moją rodaczką. Tak, widzę to z twarzy, naturalnie nie jesteś podobną pani do tych wystrojonych Francuzek, które mają tylko wtedy czerwone policzki, jeżeli je pomalują jakąś djabelską farbą; no i nie widzę także tej fryzury à la morski pies. Więc mówię z Polką, w takim razie zawrzemy ze sobą przyjaźń.“

„Przedtem jednak“, wtrąciła Anielcia, „musimy wiedzieć z kim mamy do czynienia. Moje nazwisko Anielcia Dubois; brzmi ono wprawdzie zupełnie po francusku, lecz mimo to jestem prawdziwą Polką. Wychowanie tylko otrzymałam od francuskiego opiekuna.“

„To musiał być porządny człowiek“, zamruczał siwowłosy mężczyzna, rzucając badawcze spojrzenie na twarz Anielci, „że nie pozwolił na to, byś pani zapomniała ojczystego języka. Moje nazwisko Jan Klas. Pewnie zauważyłaś już pani, że jestem starym morskim lwem, — przyzwyczajonym do ciągłego przebywania na kołyszącym się okręcie. Nieraz już trzymałem się za bary ze sędziwym oceanem.

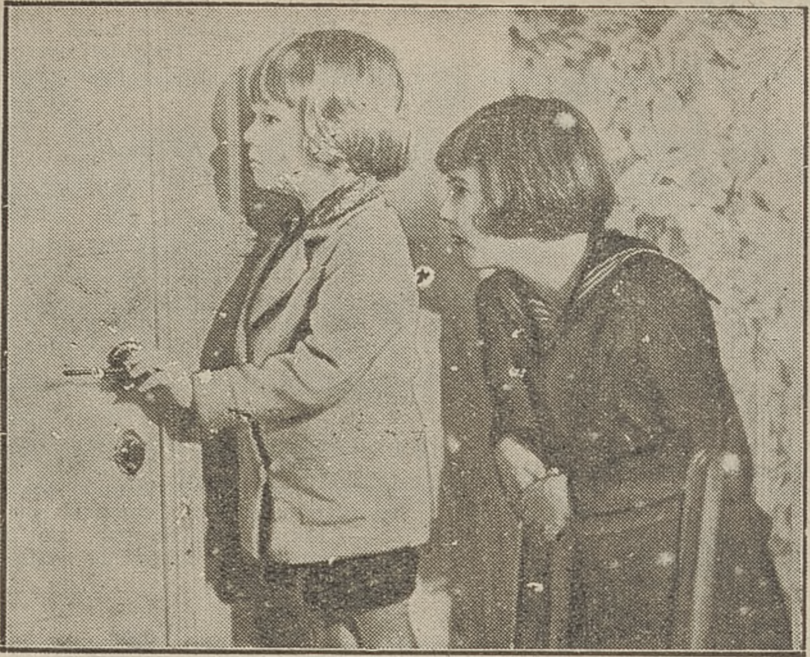
„Dotychczas odniosłem zawsze sińce i podbite oczy, — patrz pani, — ile ich mam na twarzy.“

Rubaszny Klas zaśmiał się ze swojego dowcipu, i uścisnął tak silnie ręce Anielci, że o mało nie krzyknęła z bólu.

„Ach tak, — zapomniałem całkiem, że trzymam taką małą delikatną łapkę“, — zawołał pospiesznie marynarz, wypuszczając rękę Anielci, „odzwyczaiłem się dotykać takich paluszków! — Droga panienko, stałem się może niechcący sprawcą bólu?“

„O, nie, — nigdy! Uściśnięcie przyjaciela nie boli, — przeciwnie napawa zawsze otuchą.“

„Wyznaję otwarcie, że mi się pani djablo podoba!“ odrzekł olbrzym, i „byś pani wiedziała, z kim masz do czynienia, przedstawiam się: — jestem sternikiem tego okrętu i dopiero co przeprowadziłem szczęśliwie tę przeklętą drewnianą pakę przez szereg podmorskich skał, rozsianych wzdłuż angielskiego wybrzeża. Młodszemu koledze odstąpiłem moją służbę na kilka godzin.



Co będzie pod drzewkiem? Niecierpliwy świat dziecięcy nie może doczekać się radosnej chwili oglądania drzewka świątecznego i darów pod niem złożonych. To też specjalny „wywiad" stara się przed czasem uchylić rąbka tajemnicy.

„Pani jedzie do Ameryki? Cudowny kraj, — djablo dobrze można tam żyć, lecz dla tego rodzaju ludzi co pani, trochę niebezpiecznie!“

„Jakto“, zawołała Anielcia zdumiona, „prawda to, że w Ameryce nie bardzo zważają na przepisy i prawa?“

Sternik Jan Klas zatrząsł się ze śmiechu.

„No, pani naturalnie zaraz myśli, że w Ameryce są sami ludożercy, że mordercy gonią bezkarnie we dnie, by wyszukiwać swoje ofiary. Nie, moja mała przyjaciółko, tak źle znowu nie jest. Pod słowem „niebezpiecznie“ rozumiałem zupełnie co innego. Chciałem powiedzieć, że pani, — no, nie wiem, jak się mam wyrazić, — że taka pięknie zbudowana fregatta może łatwo tam na zachodzie dostać się na złą wodę. — W Ameryce jest dużo korsarzy, którzy zapragną z pewnością zdobyć taki djablo piękny statek.“

Anielcia nie mogła się wstrzymać, — oryginalny, niewymuszony sposób mówienia starego sternika pobudził ją do śmiechu.

Był to pierwszy uśmiech, który okrasił jej usta, od tej strasznej chwili, w której straciła nazawsze Kazimierza.

„Dziękuję“, odparła po małej pauzie, „to już zależy od ludzi. Można uniknąć wiele niebezpieczeństw, jeżeli się tylko dobrowolnie na nie naraża.“

„Pewnie!“ mruknął marynarz, „kobiety jednak są jak ten okręt, jadący we mgle. Gdy się nikt o niego nie troszczy, to nieszczęście gotowe, — jeżeli zaś uważa się i daje sygnały, to można uniknąć kolizji.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia zasyłamy wszystkim naszym Czytelnikom i Przyjaciołom jak najserdeczniejsze życzenia

„WESOŁYCH ŚWIĄT!“

Redakcja i Wydawnictwo „Moich Powieści“

CHWILA ZASTANOWIENIA

Logogryf „świąteczny“.
(ul. Em-zet.)

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14

W puste pola wpisać pionowo 14 imion żeńskich i męskich (zachodzą także zdrobnienia). Numer 1, 6, 7, 10, 12, 12 i 13 — imiona męskie, reszta żeńskie. Pola oznaczone tłustą linją dadzą rozwiązanie.

Kwadrat geograficzny
(Pod. B. C. z Pińska.)

1. C E H I I K L M N
2. C C N S U Y Z Z Z
3. A C C E H I N Ó W
4. D E Ę J J Ó R W Z
5. A A C E I I K M N
6. A C H E E H M R Z
7. A C C E I I R W Z
8. A C H P R S U Y Z
9. A Ę K Ł O O R S T

W podaną figurę należy wpisać poziomo dziewięć nazw miast polskich utworzonych z podanych w odpowiednim wierszu liter. Litery na przekątnej od pierwszej litery pierwszego wyrazu do ostatniej ostatniego dadzą nazwę jeszcze jednego miasta.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 27 grudnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 49 „Moich Pow.“: Kwadraty magiczne: I. 1) Pole, 2) Owad, 3) Lale, 4) Edek. II. 1) Dank, 2) Amar, 3) Nase, 4) Krew. III. 1) Kawa, 2) Amad, 3) Waza, 4) Adam. IV. 1) Kask, 2) Arka, 3) Skos, 4) Kasa. V. 1) Woda, 2) Owoc, 3) Doza, 4) Acan. VI. 1) Akta, 2) Kran, 3) Tani, 4) Anin. Pytania szaradowe: 1) Bajan, 2) Tamara, 3) Kalina, 4) Malina, 5) Dolina, 6) Jodyna, 7) Potomek, 8) Paryż, 9) Opole, 10) Barak, 11) Barok, 12) Prorok, 13) Szarada.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Dyonizy Janicki — Gniezno, „Irek“, Leokadja Krawczyk — Małe Pułkowie, Janusz Jodłowski — Rozprza, Cezary Zamiński — Warszawa, Helena Mielcarkówna — Chwałkowo, Irena Jaskółówna — Ostrowo, „Willy“, Anna Górska — Drohobycz, Józef Konarski — Suwałki, Janusz Płochacz — Łódź, Zbigniewa Jaroszówna — Jarocin.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Annie Górskiej z Drohobycza i Januszowi Płochaczowi z Łodzi.

HUMOR



— Dalej, Emilu, droga jest wolna.

Nieodpowiednia narzeczona.

— Co słychać Julku? Jak tam narzeczona? Kiedy ślub?

— Nie będzie ślubu, zerwałem z nią.

— Dlaczego?

— Miałem ku temu trzy ważne powody. Po pierwsze, ona była o rok starsza odemnie, po drugie, nie lubię blondynek, a po trzecie, wczoraj wyszła zamąż za jednego bankiera.

W ubezpieczalni.

Do gabinetu lekarza, który rozpoznaje wszystkie choroby za pomocą patrzenia pacjentowi w oczy, przychodzi jakiś ubezpieczony i skarży się na bóle w nodze. Lekarz oczywiście zagląda w oko i po dłuższej obserwacji mówi:

— Bardzo źle jest z panem. Pańskie oko wykazuje wyczerpanie sił żywotnych, wadę serca, ślepą kiszkę, tyfus, reumatyzm i cholerę.

— Niech pan zajrzy do drugiego oka, — odpowiada pacjent — bo to jest szklane.

Mała nauczka.

W pierwszorzędnej restauracji jakiś nieznający form towarzyskich gość zawiązuje na szyi serwetkę. Do gościa podchodzi kelner i uśmiechnięty złośliwie pyta:

— Pan dobrodziej golenie, czy strzyżenie?

Moda.

Mąż (do wracającej z miasta żony) — Bój się Boga, jak ty wyglądasz, co się stało, że masz przylepiony plasterek na uchu?

Żona — Głupi jesteś, to nie plaster, tylko najmodniejszy kapelusz.

O śmierci.

— To pan żyje? A ja byłem przekonany, że pan już umarł.

— Skąd u licha takie przekonanie?

— Słyszałem przed paroma dniami o panu tyle dobrych rzeczy.

Siła przyzwyczajenia.

Inżynier S... powrócił niedawno z Rosji Sowieckiej, gdzie przebywał przez długie lata. Przed paroma dniami jeden ze znajomych zauważył o drugiej w nocy inżyniera stojącego przed, zamkniętemi oczywiście o tej porze, drzwiami wędliniarni.

— Człowieku, co pan tu robi? — zawołał ze zdumieniem znajomy.

— Mam zamiar kupić serdelek, więc stanąłem sobie w ogonku!...

Przezorność.

— Do stu djabłów — zaklął rozbitek na bezludnej wyspie. — Najgorzej martwi mnie to, że nie odnowiłem losu loteryjnego do czwartej klasy.

Na pensji.

— Panno Zosiu, proszę mi powiedzieć, co to jest estetyka?

— Nauka o pięknie.

— Dobrze. A kto to jest esteta?

— To... to jest piękny nauczyciel.

Czy zrozumie?

Podczas nakręcania filmu egzotycznego, reżyser zwraca się do głównego bohatera i powiada:

— Dla większego wrażenia postanowiliśmy użyć do sceny z wężem prawdziwego boa dusiciela. Niech się pan nie obawia, scena będzie bardzo krótka i w razie czego pospieszymy natychmiast z pomocą. Zrozumiał pan?

— Tak, ja zrozumiałem, ale pytanie, czy boa zrozumie? — odpowiada wystraszony gwiazdor.

Nerwy.

— Panie Miętusik, co pan taki zdenerwowany

— Jutro jest pierwszy występ w teatrze.

— Pan gra główną rolę?

— Nie, jestem suflerem.

Pewna siebie.

Jaś i Zosia bawią się w „dorosłych". W pewnej chwili Jaś mówi:

— Jak ja doprawdy dorosnę, to ożenię się z najpiękniejszą kobietą na świecie.

— I zobaczysz Jasiu, jacy będziemy szczęśliwi — odpowiada Zosia.

Nie pomaga.

— Panie aptykarzu, ta woda na pluskwy nic nie pomaga.

— E!... A coście z nią robili?

— Wypiłem całą butelkę, a wciąż gryzom i gryzom...

Humor z przed 2000 lat.

— Żona moja — skarżył się pewien Rzymianin przyjacielowi swemu Ciceronowi — powiesiła się na drzewie figowem.

— Przyjacielu — odpowiedział Marcus Tullius — czy nie zechciałbyś ofiarować mi szczepu tego drzewa?

Miał dosyć.

Pewnego razu urządził u siebie przyjęcie gubernator Cyrenajki, zapraszając na nie co znamienitszych obywateli arabskich.

Po skończonej uczcie, gdy goście opuścili już salę, jeden z nich zatrzymał się, przyglądając się bacznie kasetce z wykłuwaczkami do zębów, która znajdowała się na stole. Obserwujący go zdala lokaj w przekonaniu, że odgadł myśl wodza Arabów, zbliża się do niego i podaje mu owe wykłuwaczki.

— Dziękuję — rzecze Arab — zjadłem już jedną i to mi zupełnie wystarczy.

Zdziwienie...

Na lekcji historji wizytator pyta uczennicę imieniem Helena:

— Jak się nazywała ta królowa, o którą tak długo trwały wojny w Grecji starożytnej?

Uczennica milczy. Nauczycielka, chcąc jej dopomóc, szepce:

— No, nazywała się tak, jak ty...

— Rozenberżanka!?

Gdy się pożycza...

— Ależ to dziwne, w całej swojej bibljotece posiada pan tylko jedną książkę?

— Niestety! Jest to katalog książek, które pożyczyłem moim znajomym; to wszystko, co mi się zostało z dawnego księgozbioru.

Nasze dzieci.

Sześcioletnia jedynaczka hotelisty rozgniewana, że ojciec odmówił jej żądaniu pieniędzy na to i owo, pyta:

— Mamusiu, jak przychodzą na świat pieniądze?

Mamusia: — Pieniądze Krysiu, robi Państwo.

Krysia: — Tak, ojciec stale narzeka, że pieniędzy nie ma, a przecież my jesteśmy też państwem.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8

Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O. Nr 207 393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydaw[illegible] Znin